BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

Wychodzi od 1933 r.

Kamena

LUBLIN 8 X 1972 Nr 21 (506) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

Rys. A. Stok

12 października - Dzień Ludowego Wojska Polskiego

Lubliniacy na wojnie (I)

Alojzy Sroga

RZECZ godzi się rozpocząć od sumitacji i... sprostowań. Nie wykluczam, że purysta językowy napisze do „Kameny" natychmiast sprostowanie. Nie „lubliniacy", lecz „lublinianie". Teoretycznie będzie miał rację. Proszę mi jednak pokazać tego, który mówił tak lat temu dwadzieścia pięć, albo tak mówi — dzisiaj. „Lubliniacy" — mówi się w codziennym języku, a czasem warto dlań mieć odrobinę szacunku, jako dla bardziej komunikatywnego.

Skoro dałem już kontrę ewentualnym prostowaczom moich językowych błędów — czas na sumitacje.

Niby dlaczego mamy mówić o lubliniakach na wojnie, skoro zapewne byli tam i warszawiacy (warszawianie — powie purysta), krakowiacy (vel krakowianie) i tak dalej, dalej, ile dużych miast liczy nasza Ojczyzna. Czemu więc podbijać tylko lubelskiego bębenka?

Nim dobrnę do argumentów — sumitacja osobista. Już dwadzieścia jeden lat mieszkam i pracuję w Warszawie, ciągle jednak uczuciowo związany jestem z Lublinem — miastem mego urodzenia, mej młodości, nauki, pierwszej pracy, okupacji i studiów, dziennikarskiego startu, pisarskich pierwocin — i Lubelszczyzną. I chyba na zasadzie odruchu warunkowego, absolutnej podświadomości, ilekroć grzebię się w dokumentach archiwalnych tyczących minionej wojny, potrzebnych mi do kolejnej książki, reaguję identycznie w pewnym określonym wypadku. Gdy np. przy śledzeniu ludzkich losów — w ankiecie personalnej, w bojowym meldunku — najczęściej, niestety, poległych żołnierzy, dojrzę miejsce urodzenia: Lublin, lub którąś z miejscowości województwa lubelskiego — natychmiast rejestruję owe nazwisko, nie zastanawiając się, czy kiedykolwiek będzie mi ono w ogóle do czegoś przydatne. Jest to zapewne ów pokłon podświadomości.

Być może, gdybym był rdzennym warszawiakiem, na każdym kroku usiłowałbym udowadniać, że to właśnie w stolicy zawsze lęgną się najcenniejsze ludzkie jednostki, najwybitniejsze, najszlachetniejsze i parę innych naj... A tu — może moje notatki są dowodem lubelskiego kompleksu?

Niechże będą.

Kolejne sprostowanie. Tytuł stanowczo jest za obszerny, za szeroki dla rozważań, które chcę za chwilę przedstawić, takoż — dla prezentacji postaci, prezentacji lubliniaków na wojnie. Biorę z niej właściwie tylko jeden wycinek, wiążący się z dziejami 1 armii Wojska Polskiego, a więc wycinek dotyczący lat 1943—1945. A gdzie lubliniacy na wrześniowym teatrze wojny? Na Zachodzie? W partyzantkach bez mała połowy Europy?

Dlatego od razu prostuję, że tytuł wyrósł mi ponad miarę, ponad skromne zamierzenia.

Usprawiedliwiony w oczach czytelnika, oczyszczony we własnym sumieniu — mogę zatem przystępować do rzeczy.

LUBELSKI KORPUS PIECHOTY

Nie było takiego korpusu w okresie, o którym przed chwilą wspomniałem. No więc co? — zirytuje się w końcu łaskawy czytelnik — długo tak jeszcze będzie się wystawiać moją cierpliwość na niczym nieuzasadnioną próbę?

Już uspokajam.

Nie było takiego korpusu w sensie formalnym, nazewnictwa. Ale praktycznie...

Dokończenie na str. 6

Lublin 1944 r. Odjeżdżali na front i wiedzieli po co... Fot. M. Trachman

W numerze:

Jerzy Dostatni
Na litoralu rumuńskim

Henryk Makarski
Płaszcz

Jadwiga Mizińska
Skazani na twórczość

Tadeusz Strumff
Pod bokiem Kara-Kum

Mieczysław Targoński
O katach w dawnym Lublinie

Mała stacja kolejowa

Mirosław Derecki

NOCNY dyżur miał się ku końcowi. Zawiadowca stacji Kuźnice na Helu, Jan Marach, wyszedł przed budyneczek dworca żeby rozprostować kości i zaczerpnąć świeżego powietrza. Po żużlowym peronie spacerował już kasjer Pestka. Co chwilę jednak przystawał i popatrywał w kierunku zatoki, w stronę, gdzie za linią horyzontu leżał Gdańsk. Kiedy spostrzegł swojego przełożonego, zbliżył się szybkim krokiem: „Coś dziwnego, panie zawiadowco — powiedział. — Niebo czyste, zatoka spokojna, morze też, a nad Gdańskiem jakby burza. O, niech pan posłucha w tej chwili: grzmot, czy co...?"

Istotnie. Od strony Gdańska dobiegł ich uszu przeciągły, przytłumiony mgłami stojącymi nad wodą, huk. Stali przez chwilę nasłuchując. „To nie burza — powiedział zawiadowca. — To mi wygląda na..." Ale bał się dokończyć co jemu, podporucznikowi rezerwy 66 pułku piechoty, obznajomionemu z kanonadą artyleryjską, przypominają owe odgłosy. Zaraz jednak wszystko się wyjaśniło. W dyżurce zaterkotał telefon. Wzdłuż linii kolejowej szła wiadomość podawna od stacji do stacji: „Pancernik „Schleswig-Holstein" ostrzeliwuje Westerplatte. Zaczęła się wojna."

Marach spojrzał odruchowo na zegar stacyjny — dochodziła piąta. Pomyślał wtedy, że oto zamyka się piękny okres jego życia, który spędził tutaj, na małej stacyjce rybacko-wczasowej miejscowości, z niedawno poślubioną żoną, w przytulnym mieszkaniu na pięterku dworca. Okna jednego pokoju wychodziły na tory kolejowe i dalej — na morze, okna drugiego na zatokę, dookoła były piaszczyste wydmy porośnięte sosnowymi lasami poprzetykanymi drzewami jarzębiny, kępami dzikiej róży i jeżyn. Samodzielne stanowisko i nienajgorsza pensja kolejarska rokowały, tak niedawno jeszcze, wieloletnią spokojną egzystencję na tym skrawku polskiego wybrzeża. Gospodarowali oboje z żoną na stacyjce jak potrafili najlepiej, zadowoleni, że Marachowi trafiła się nareszcie dobra praca, praca, o którą w Polsce było wtedy tak ciężko.

Właściwie to Jan Marach nigdy w młodości nie przypuszczał, że zostanie kolejarzem. Chociaż sam z kolejarskiej rodziny, ojciec był zawiadowcą stacji w Więcborku — upodobał sobie zawód nauczyciela i w 1933 roku wyszedł w świat z dyplomem ukończenia Państwowego Seminarium Nauczycielskiego Męskiego w Tucholi. Szybko jednak zorientował się, że „papierek" nie na wiele mu się przyda, skoro nie ma „pleców" i czego tam jeszcze trzeba do wciśnięcia się na etat nauczycielski. Może zresztą miała również jakiś wpływ tradycja rodzinna. Dość, że w pewnym momencie postanowił rozpocząć jeszcze raz wszystko od początku, dyplom odłożył na półkę, a sam zapisał się na trzymiesięczny kurs telegrafistów kolejowych. Po jego ukończeniu zaczął pracować na stacji Zajączkowo

Dokończenie na str. 6

Pod bokiem Kara-Kum

Tadeusz Strumff

DO TRZECH radzieckich republik: Turkmeńskiej, Uzbeckiej i Kirgiskiej. Każda ogromna, barwna, nieco tajemnicza, bo to już świat odmienny, azjatycki. W każdej chciałoby się pobyć — no... przynajmniej miesiąc, a tymczasem jest się dwa dni, trzy. Więc reporterski notatnik nie satysfakcjonuje mnogością zapisu. Wszystko zbyt prędkie, zbyt z wierzchu.

Suma dla samego siebie, kiedy myślę o tej podróży: zdumienie, że możliwy jest postęp tak wielki w czasie tak krótkim — postęp w tylu dziedzinach; że możliwe jest tak harmonijne, tak efektywne współżycie wielu rozmaitych narodowości; pewność, że chociaż do zrobienia zostało tak wiele, każdy rok będzie dla tych regionów kolosalnym skokiem do przodu. Będzie się tu żyło dostatniej i radośniej. W krainach, gdzie tradycja tworzy z teraźniejszością przedziwnie żywy stop.

Wybieram z notesu parę spotkań, kilka odwiedzin, trochę danych. Wiem, że to nie są rewelacje; wiem, że tylko znacznie dłuższy pobyt pozwoliłby zebrać więcej spostrzeżeń i trochę je pogłębić. Ale może i te pospieszne notatki przydadzą się polskiemu czytelnikowi w 50 roku istnienia państwa radzieckiego. Opowiadam, co zdążyłem obejrzeć.

DYWANY. „Ten, kto robi kocioł, może umieścić ucho tam, gdzie chce" — mawiali Kazachowie. „Ta która robi dywan, musi umieścić węzeł tam, gdzie każe projekt" — mówią Turkmenki w aszchabadzkiej fabryce.

Budynek jest niewielki, na fabrykę nie wygląda. Stoi w ogrodzie wśród morw i jabłoni. Chłodno w nim; ulga po upale na zewnątrz. Co to jest: „Jedwab, który nie ma szwów?"

Niebo tutejsze bezchmurne. Cieknie z niego żar. Więc najpierw filiżanka zielonej herbaty, gorącej, bo tylko taka gasi pragnienie. Więc potem trochę danych,

Dokończenie na str. 4

teatrnn.pl

Nowy rok kulturalno-oświatowy

ZA KILKA dni otwarty zostanie nowy rok kulturalno-oświatowy na Lubelszczyźnie. Będzie to zapewne moment uroczysty, stwarzający okazję do bilansowania dokonań i wyznaczania nowych kierunków działalności. Odnotowujemy go jednak tylko pod postacią niniejszego, skromnego objętościowo tekstu, albowiem uważamy, że „Kamena" spełnia swoją rolę poprzez ciągłe podejmowanie problematyki określającej rozwój kultury.

Wśród tych problemów jeden wydaje się nam szczególnie istotny. Został on mocno zaakcentowany na VI Zjeździe Partii i dotyczy głównie ludzkiej świadomości, stosunku do kultury. Chodzi o sformułowanie i przeniesienie do wszystkich ogniw życia społecznego i gospodarczego tej prawdy, że kultura jest dziedziną zbiorowej egzystencji wcale nie mniej ważną od takiej czy innej gałęzi przemysłu, handlu, komunikacji... Owszem, już w latach poprzednich skłonni byliśmy zgadzać się, że znacznie łatwiej wznieść dom czy miasto, niż przebudować ludzką świadomość. W ślad za tym przekonaniem nie szły jednak inne działania, bardziej praktyczne, które uwierzytelniałyby głoszony pogląd.

Doświadczenia ostatnich kilkunastu miesięcy wskazują, że znajdujemy się w okresie porządkowania instytucji i metod upowszechniania kultury oraz rozwoju twórczości artystycznej. Analizuje się nowy system zarządzania kulturą na szczeblu powiatu: podjęto kroki, które mają polepszyć sytuację środowisk twórczych, m. in. przez uruchomienie Funduszu Rozwoju Twórczości Plastycznej; w miastach powiatowych zaczyna się, nie bez oporów, realizować zasadę integracji środków na kulturę, pozostających w dyspozycji zakładów pracy i organizacji społecznych; trwają żarliwe dyskusje nad ostatecznym sformułowaniem wieloletnich i generalnych programów rozwoju kultury na terenie województw, m. in. na Lubelszczyźnie... Ważne, że konieczność zreformowania aktualnego modelu rozwoju kultury w Polsce, modelu dość zresztą nieforemnego, pełnego luk i niekonsekwencji, jest dziś bezdyskusyjna.

KULTURA 1972

Literatura

* Laureatami dorocznej nagrody literackiej im. Józefa Conrada zostali: Stanisław Biskupski za „Archipelag wysp pływających" i Jacek Cieszewski za „Smak morza". Nagrodę dziennikarską otrzymał Wojciech Święcicki z „Wieczoru Wybrzeża".

* W Warszawie odbyło się międzynarodowe sympozjum, poświęcone humanistycznym i społecznym wartościom literatur słowiańskich, ukazaniu w świetle współczesnej wiedzy, w jaki sposób kultury słowiańskie oddziałują na inne kręgi kulturowe. Sympozjum odbyło się w ramach 6-letniego programu UNESCO, dotyczącego badań i popularyzacji kultury słowiańskiej w świecie.

* W ostatnim tygodniu września odbyła się w stolicy Warszawska Jesień Poezji, która ma stać się stałą imprezą.

* Tomikiem wierszy Zygmunta Kętrzyńskiego pt. „Pierwszej z pierwszych" Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Opolu rozpoczęła działalność wydawniczą, pragnąc przyjść z pomocą młodym utalentowanym poetom i prozaikom, którzy nie mogą doczekać się druku własnych książek drogą normalną.

* Nakładem praskiego wydawnictwa Odeon ukazały się cztery nowe wydania dzieł pisarzy polskich: powieści Tadeusza Brezy „Uczta Baltazara" i Tadeusza Różewicza „Śmierć w starych dekoracjach" oraz tomiki poezji „Pławienie koni" Jarosława Iwaszkiewicza i „Labirynt" Adama Ważyka.

* Na X międzynarodowym Biennale Poezji w belgijskiej miejscowości Knokke Grand Prix International otrzymał 63-letni poeta grecki Aynnis Ritsos. Udział brało 400 pisarzy z 40 krajów.

Teatr

* Teatr „Zagłębie" w Sosnowcu z okazji 25-lecia istnienia odznaczony został orderem Sztandaru Pracy I klasy, a wielu aktorów i pracowników otrzymało inne odznaczenia państwowe i lokalne.

* Znakomity aktor Gustaw Holoubek obchodził 25-lecie pracy artystycznej. Z tej okazji otrzymał odznakę Zasłużonego Działacza Kultury.

* W warszawskim teatrze „Lalka" Jan Dorman wystawił własną sztukę (zmontowaną z fragmentów tekstów Woltera) „Optymizm czyli Kandyd: widz naiwny". Sztuka jest niezwykła: publiczność w grupach po 20 osób krąży po pomieszczeniach teatru, gdzie odgrywają się różne fragmenty widowiska. W każdym razie młodsza część widowni, jak twierdzi recenzent „Trybuny Ludu", jest zachwycona.

* Sztuką Witkacego „Wariat i zakonnica" Teatr im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach rozpoczął jubileuszowy, pięćdziesiąty sezon teatralny.

* Teatr „Wybrzeże" w Gdańsku wystąpił z prapremierą sztuki węgierskiego dramaturga starszego pokolenia, Gyula Illyesa, pt. „Doskonali" w reżyserii Marka Okopińskiego. Akcja toczy się w XIII wieku.

Sztuka

* W warszawskiej Pomarańczarni, będącej oddziałem Muzeum Narodowego, otwarto stałą galerię rzeźby polskiej. Na razie dostępna jest ona tylko dla wycieczek. Wystawiono ponad 300 rzeźb poczynając od XVIII-wiecznych do współczesnych.

* W Muzeum Narodowym w Warszawie otwarto dawno oczekiwaną stałą Galerię Sztuki Współczesnej, która zajmuje 18 sal wystawowych.

* W czerwcu przyszłego roku odbędzie się w Poznaniu Biennale Sztuki pod hasłem „Literatura — film — teatr dla dzieci i młodzieży", połączone z międzynarodową wystawą książki i ilustracji dla dzieci.

* W Piotrkowie Trybunalskim ma powstać muzeum szklarstwa. Pierwszych eksponatów dostarcza najstarsze huty polskie — „Hortensja" i „Kara" z Piotrkowa.

* Wystawa „Tysiąc lat monety polskiej", obejmująca 321 eksponatów, otrzymała złoty medal na wystawie monet w chicagowskim OAK Park. Wystawa ta od pięciu lat wędruje po USA i Kanadzie, a obejrzało ją już około 2 mln osób.

* W Wert Galerie w Wiedniu otwarto wielką wystawę sztuki polskiej.

Muzyka

* W drugiej połowie września odbył się XVI Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień". Zaprezentowano 84 nowe kompozycje, w tym 29 polskich. W związku ze zbliżającą się 90 rocznicą urodzin i 25-leciem śmierci Karola Szymanowskiego szczególnie eksponowano dzieła tego kompozytora.

* Ponad 500 wykonawców z różnych krajów zgromadził III Międzynarodowy Festiwal Muzyki Dawnej krajów Europy środkowej i wschodniej, który odbył się w Bydgoszczy w dniach 10—16 września.

* Doroczne nagrody „Złotej Muzy", ufundowane przez Polskie Nagrania, otrzymali: dyrygent Jerzy Semkow i Wielka Orkiestra Symfoniczna PR i TV w Katowicach oraz zespół Fistulatores et Tubicinatores varsovienses.

* Państwowe Wydawnictwo Muzyczne w Krakowie wydało antologię „Pieśni Podhala", obejmującą 1250 tekstów i 143 melodie.

* W składzie zespołu Pagartu, który jedzie do USA i Kanady, znajduje się także Mieczysław Fogg — jest to już jego szósta wyprawa za ocean.

* Polska śpiewaczka Barbara Piatkiewicz-Suslow wystąpiła z recitalem w Addis Abebie.

* W Muzeum B. Smetany w Pradze otwarto wystawę poświęconą Fryderykowi Chopinowi.

* W jednym z pałaców w Wenecji staraniem wdowy po Igorze Strawińskim powstanie muzeum poświęcone twórczości Strawińskiego i Diagilewa.

* Prapremiera nowej opery Silvano Bussotiego „Lorenzaccio" zainaugurowała XXXV Festiwal Muzyki Współczesnej w Wenecji.

Film i telewizja

* W Łodzi rozpoczęto powszechną akcję pod hasłem „Młodzież bliżej filmu" Uczniowie szkół ogólnokształcących, od klasy piątej oraz szkół zawodowych i techników mogą kupić karnety abonamentowe za 12 zł, które uprawniają do otrzymania 3 biletów w jednym z 21 kin tego miasta, niezależnie od kategorii kina. Zestaw filmów abonamentowych obejmuje 620 tytułów i jest uzupełniany bieżącymi zakupami.

* W dniach 22—24 września odbył się w Polanicy-Zdroju ósmy przegląd amatorskich filmów zrealizowanych na taśmie 8 mm.

* Paryska Sorbona w tym roku wydała dwa dyplomy doktorskie za prace na temat filmu.

Różne

* Z okazji 95 rocznicy urodzin wielkiego polskiego patrioty i rewolucjonisty Feliksa Dzierżyńskiego, KC PZPR wydał medal pamiątkowy z jego portretem, będący dziełem artysty Edwarda Gorola.

* W dniach 16 i 17 września odbyło się w Warszawie wielkie święto „Trybuny Ludu". Niezwykle bogaty program obejmował także wiele imprez kulturalno-artystycznych na wysokim poziomie.

* Na Uniwersytecie Wrocławskim uruchomiono pierwszy w Polsce, nowy kierunek studiów — kulturoznawstwo. Jeden dział kształcić będzie wysokokwalifikowanych pracowników kultury, drugi — pracowników nauki.

* Pierwszy doroczny medal Stowarzyszenia Architektów Polskich przyznano architektowi brazylijskiemu Oscarowi Niemeyer'owi. Wręczenie medalu nastąpi podczas jego pobytu w Polsce na wiosnę przyszłego roku.

* 50 najlepszych zespołów teatralnych, wokalnych, muzycznych i kabaretowych, wyłonionych w czasie V Festiwalu Kultury Studentów PRL, wystąpi we Wrocławiu w dniach 20—23 października.

* Laureatem Nagrody Gutenberga, przyznawanej przez władze Lipska za osiągnięcia w dziedzinie projektów graficznych, liternictwa i techniki edytorskiej został Roman Tomaszewski z Warszawy.

Lubliniana

* Muzeum Okręgowe otrzymało od pani Janiny Wootton (z domu Smoczyńskiej) z Anglii cenne dary w postaci pięknego osiemnastowiecznego srebra i porcelany. W lipcu pani Wootton przekazała już obrazy, gobeliny i grafikę. Ofiarodawczynię zaproszono do kraju.

* Muzeum im. Czechowicza przy współpracy księgarzy i bibliotekarzy urządziło wystawę poświęconą pięknie wydanej książce poetyckiej.

* W ramach Dni Lublina, które odbyły się w Brześciu, wystąpiły nasze amatorskie zespoły artystyczne, urządzono wystawę fotograficzną oraz zorganizowano kilka spotkań działaczy kultury.

* Lubelski Wrzesień Muzyczny, poświęcony 50 rocznicy powstania ZSRR, zainaugurowany został występem chóru mieszanego z Moskwy pod dyrekcją prof. Władysława Sokołowa.

* Po trzynastoletniej przerwie w Filharmonii Lubelskiej wystąpił świetny pianista Karol Malcużyński, prezentując utwory Francka, Beethovena i Chopina.

* Mariola Mamona z Krasnegostawu została laureatką VII krajowego turnieju recytatorskiego w Jeleniej Górze.

Kamena str. 2

NRF bez parlamentu

I co dalej?

NIEMIECKA Republika Federalna nie ma w tej chwili parlamentu. 22 września wszyscy deputowani do Bundestagu utracili swoje mandaty i immunitet poselski.

Wydarzenie to poprzedziło posiedzenie Bundestagu VI kadencji, kiedy to kanclerz Brandt postawił wniosek o udzielenie mu votum zaufania, wiedząc z góry, że wynik głosowania doprowadzi właśnie do takiego rozwiązania. Rzecz w tym, że wskutek wolty niektórych posłów koalicji rządzącej, którzy stopniowo przechodzili do opozycji, działalność parlamentu została w ostatnim czasie niemal całkowicie sparaliżowana. Kiedy SPD i FDP przejęły ster rządów nad krajem, co stało się przed trzema laty, stosunek mandatów między SPD/FDP a CDU/CSU wynosił 254 do 242. Była to większość minimalna, aczkolwiek wystarczyła do dokonania zwrotu w polityce zagranicznej NRF. W miarę jednak upływu czasu opozycja, nie mogąca się pogodzić z bolesną lekcją z 1969 roku, podjęła próbę rozbicia od wewnątrz partii rządzących poprzez kaptowanie co chwilę niejszych deputowanych SPD i FDP. Nie przebierano w środkach, nie żałowano obietnic i pieniędzy, dopuszczano się nawet szantażu. Nie mniej próba wyboru Barzela kanclerzem nie powiodła się. Rząd zdołał się utrzymać, ale gdy w parlamencie powstała tzw. remisowa sytuacja, kanclerz Brandt nie miał innego wyjścia, jak przedterminowo rozwiązać parlament, czemu właśnie miało służyć postawienie wniosku o votum zaufania i założenie z góry, iż wniosek ten zostanie odrzucony. Z 482 deputowanych, uczestniczących w głosowaniu, 248, czyli cała frakcji CDU/CSU wypowiedziała się przeciw, a tylko 233 — za. Koalicja rządząca z całą świadomością zabiegała o to, aby szef rządu nie uzyskał większości i aby uniknąć ewentualnego kolejnego remisu. Bowiem tylko w ten sposób można było doprowadzić do przedterminowych wyborów, które — jak ustalono — odbędą się 19 listopada.

Chyba nie ma dzisiaj nikogo, kto mógłby bezbłędnie przewidzieć, czym się zakończy w NRF kolejna próba sił, nie ma jednak wątpliwości, że kampania wyborcza do Bundestagu przebiegać będzie w bardzo ostrej walce politycznej. Ostatnia debata, obfitująca w liczne wycieczki osobiste, jeszcze raz wykazała, że wszelkie chwyty są dozwolone.

Brandt, wygłaszając na posiedzeniu Bundestagu swoje przemówienie wyraźnie podkreślił, że sytuacja, która doprowadziła do zgłoszenia przez niego wniosku o votum zaufania, nie ma absolutnie nic wspólnego z kryzysem rządu czy też z kryzysem państwowym. Po prostu kilku deputowanych koalicji rządzącej sprzeniewierzyło się woli wyborców i poprzez swe przejście do opozycji zmieniło układ sił w parlamencie. SPD/FDP odwoła się teraz do wyborców, aby przywrócić zdrowe proporcje w Bundestagu. Z kolei Barzel, jak należało się spodziewać, całkowicie zdyskwalifikował cały dorobek rządu, aczkolwiek nawet dla osób stojących z dala od polityki jasne jest, że rząd ów doprowadził do rewizji starych schematów i podejmując kroki w kierunku uzdrowienia stosunków z państwami socjalistycznymi umocnił międzynarodową pozycję Niemieckiej Republiki Federalnej. Nie był to proces łatwy, nie odbywał się po linii prostej, miał wiele zahamowań, nie zawsze odznaczał się precyzją i konsekwencją. Nie mniej pozostawił trwałe ślady i każdy z rozsądnie myślących ludzi musi zdawać sobie sprawę, że nie można przejść nad nim do porządku dziennego i udawać, że nic nowego nie zaszło.

Co dalej? NRF, jak się rzekło, nie ma parlamentu. I mieć go nie będzie czas dłuższy: Bundestag VII kadencji zbierze się prawdopodobnie dopiero 19 grudnia. Tu warto przypomnieć, że w 1953 r. między pierwszym a drugim Bundestagiem było 28 dni bez parlamentu, a w 1969 r. — zaledwie jeden dzień: 20 października zakończyła się kadencja V Bundestagu, a już 21 października zebrał się VI Bundestag, ten, który teraz przedwcześnie uległ rozwiązaniu.

„Frankfurter Allgemeine Zeitung", snując rozważania na temat: co dalej?, przypomina, że jeśli parlament nie działa przez czas dłuższy, wówczas na pierwszy plan występuje przewidziana w konstytucji tzw. Komisja dla zabezpieczenia praw przedstawicielstwa narodu, zwana krótko „Stałą Komisją". Trudno jednak powiedzieć, co w praktyce ma ona robić, skoro wiadomo, czego robić nie może. A nie może wybierać nowego kanclerza i nie ma prawa wydawania ustaw. Teoretycznie do jej kompetencji należy kontrola rządu, ale... bez podejmowania jakichkolwiek sankcji.

Kłopotów nastręcza problem, czy parlamentarni sekretarze stanu mogą również po rozwiązaniu parlamentu pozostawać na swych stanowiskach? Zgodnie z literą i duchem ustawy — nie. Niektórzy jednak uważają, że przymusowe ustąpienie parlamentarnych sekretarzy stanu z ich stanowisk — po rozwiązaniu Bundestagu — oznacza ingerencję w ducha konstytucji odnośnie władzy wykonawczej rządu. Nie od rzeczy będzie dodać, że uposażenie sekretarzy mierzy się nie w setkach, ale w tysiącach marek...

To wszystko są jednak detale. I kiedy zadaje się pytanie: co dalej?, chodzi nie o okres międzyparlamentarny, ale o późniejszy, a konkretnie o sam wynik wyborów.

Brandt jest dobrej myśli. Dobrą minę robi również Barzel. Wszystkie jednak partie — zarówno rządzące, jak i opozycji — wiedzą dobrze, że o tym, kto zostanie kanclerzem, zadecydują w głównej mierze ci wyborcy, których określa się mianem „niezdecydowanych". Cytowany wyżej „Frankfurter Allgemeine Zeitung" ma zapewne wiele racji, uważając ich za języczek u wagi.

A co będzie, gdy na porządku dnia znajdzie się problem większości wynoszącej np. dwa, trzy mandaty? (Niezależnie od tego, czyja to będzie większość). Wówczas Bundestag VII kadencji może się okazać jeszcze mniej trwały niż Bundestag VI kadencji.

Rosjanie zwykli mówić: dożyjemy, zobaczymy. Na razie nie pozostaje nic innego, jak właśnie te słowa powtórzyć.

(j)

Za Bugiem

NAD środkową Wołgą znajduje się Czuwaska Autonomiczna Republika Radziecka o powierzchni około 18 tys. km kwadr., zamieszkała w 75 procentach przez Czuwaszów — narodowość należącą do rodziny tureckiej, głównie ze względu na język. Jak podają historycy, narodowość czuwaska powstała ze zmieszania się elementu ugrofińskiego z ludnością napływową, tzw. Bułgarami nadwołżańskimi, którzy miejscowej ludności narzucili ponadto język spokrewniony z tureckim i tatarskim.

Na początku historii pisanej Czuwaszów ziemie ich należały do tzw. Bułgarii Kamskiej, od wieku VIII zaś były pod panowaniem Chanatu Kazańskiego i Złotej Ordy. W wieku XVI przyłączone zostały do Rosji. Historia notuje również fakty udziału ludności czuwaskiej w powstaniach chłopskich pod wodzą I. Bołotnikowa (początek XVII w), S. Razina (druga połowa XVII w) i J. Pugaczowa (druga połowa XVIII w). W roku 1920 utworzono Czuwaski Okręg Autonomiczny, w 1925 — Czuwaską Republikę Autonomiczną w składzie Rosyjskiej FSRR.

Język czuwaski należy do języków tureckich rodziny ałtajskiej i reprezentuje cechy najbardziej archaiczne. Posługuje się nim aktualnie około 1 300 000 osób. U podstaw czuwaskiego języka literackiego leży jego dialekt dolny (anatri). Pierwsze zapisy kilkudziesięciu wyrazów czuwaskich poczynił w latach trzydziestych XVIII wieku będący w niewoli oficer szwedzki F. Stralenberg. Pierwsza gramatyka pt. „Soczinienija prinadleżaszczije k grammatikie czuwaszoskogo jazyka" ukazała się w roku 1769.

Pismo czuwaskie oparto na grafice rosyjskiej. Alfabet ułożony został w latach 1872—1873 przez czuwaskiego działacza oświatowego L. Jakowlewa. W tym też czasie rozpoczyna się historia czuwaskiej literatury. Był to okres natężonych ruchów wyzwoleńczych. Rozrastała się sieć szkół czuwaskich. Dużą, pozytywną rolę odegrał tu Ilja Uljanow, ojciec Lenina, sprawujący wtedy funkcję inspektora szkolnego guberni symbirskiej (Symbirsk nazwano później na cześć Lenina Uljanowskiem), na której terenie mieszkali Czuwasze.

Pierwsi pisarze czuwascy, działający jeszcze w XIX wieku, to m. in. I. Jakowlew (opowiadania dla dzieci), M. Fiodorow (ballady), I. Iwanow (opowiadania z życia ludu), I. Jurkin (powieści), G. Timofiejew (opowiadania i reportaże). Niektórzy z nich działali również po zwycięstwie władzy radzieckiej, kiedy literatura w języku czuwaskim rozwinęła się intensywnie już w warunkach autonomii narodowej.

Czuwasze mają obecnie czasopisma kulturalno-literackie „Jaław" (Sztandar), almanach literacki „Tawas Atał" (Wołga Ojczysta), czasopismo satyryczne oraz liczne gazety. Istnieją w republice szkoły wyższe, Czuwaski Zespół Pieśni i Tańca, Teatr Czuwaski (pierwszy teatr czuwaski powstał dopiero w roku 1918).

W samych początkach władzy radzieckiej komponował pieśni G. Zajcew-Talmurza, pisał wiersze i nowele Undrycow-Agach. Popularne były liryki patriotyczne M. Sespela, poematy I. Tohti, sztuki sceniczne F. Pawłowa. Literatura wtedy przysposabiała naród do budownictwa nowej rzeczywistości. Współczesna literatura czuwaska jest w dużej części epicka, zaangażowana społecznie. Najbardziej znane nazwiska pisarzy czuwaskich aktualnie tworzących literaturę narodową to M. Ilbek, F. Ujar G. Jefimow, K. Turchan, K. Czulgasi, N. Terentjew.

Utwory literatury czuwaskiej tłumaczone są na języki rosyjski, ukraiński oraz inne i w ten sposób zdobywają czytelnika także poza granicami Republiki Czuwaskiej, a nawet poza granicami Kraju Rad.

O Republice Czuwaskiej przypomniał światu kosmonauta Andriej Nikołajew, urodzony w 1929 r. we wsi Szorszeli, który w roku 1962 na statku kosmicznym „Wostok-3" urzeczywistnił wraz z P. Popowiczem (Ukraińcem z pochodzenia), lecącym na „Wostoku-4", pierwszy lot grupowy w przestrzeni okołoziemskiej. Przebywał on w kosmosie 94 godziny i 14 minut, okrążając ziemię 64 razy.

M. Ł.

Na początku był głośnik

— Pozwoliłem sobie, panie redaktorze, zadzwonić w sprawie drogi dojazdowej na Bruskach. Miejska Rada Narodowa siedem lat temu, w 1963 roku, wzięła od zgrupowanych tam przedsiębiorstw pieniądze na ten cel i do dzisiaj nic nie zrobiła. Działa tam wprawdzie Miejskie Przedsiębiorstwo Robót Drogowych, ale tak ślamazarnie, tak nieudolnie, że wszystkich nas przeraża, co się tam będzie działo tej jesieni i tej zimy. Chyba trzeba będzie przylatywać do pracy helikopterem, ale o tym też nikt nie myśli...

— Panie redaktorze, ja chciałabym, aby ktoś od was wybrał się na Snopkowską. Tam jest taki kiosk Spółdzielni inwalidów, który od miesiąca miał już być remontowany, ale do tej pory nikt nic nie robi. Dzwoniłam w tej sprawie do pana prezesa, ale on nie wiedział, że w ogóle jest taki kiosk, nawet pytał się, gdzie znajduje się ta ulica! W pobliżu nie ma żadnych sklepów, nie można kupić ani chleba, ani pieczywa. Czy im nie zależy na klientach? Prezes się zdziwił, dlaczego interweniuję. Jak to? A gdzie ja mam rano chodzić po zakupy?

— Dzwonię z Kraśnika. Jestem członkiem Powiatowej Spółdzielni Mieszkaniowej. Mam M-4: blok 44, mieszkanie 13. Po każdym deszczu zalewa je woda. Przecieki powstają na ścianach, na suficie. Interwencje w spółdzielni nie przynoszą żadnego rezultatu. Blok jest na gwarancji, a przedsiębiorstwo budowlane w Kraśniku wcale nie usuwa usterek. Było już wiele komisji, wszystko na nic, a mnie dwa lata leje się na głowę i woda niszczy sprzęty. Redaktorze, pomóżcie...

— Chciałam zapytać o taką rzecz: dziecko, rodziców ze wsi, urodziło się w Lublinie. Ojciec chciał je zapisać w Ratuszu. Kazano je zameldować tam, gdzie zamieszkują rodzice. A w gromadzkiej radzie powiedziano, że w Lublinie. W Lublinie znów oświadczono, że w gromadzie. Dziecko urodziło się 4 maja i do tej pory (do połowy września!!!) nie jest zameldowane. Jeżeli przyjdzie kara, to kto będzie płacił?

ILU takich zwierzeń wysłuchał już red. Janusz Danielak? Ile godzin spędził nad zwojami taśm magnetofonowych przygotowując dla lubelskiej rozgłośni Polskiego Radia tak popularne audycje jak „5 minut i... telefon"? Po prawdzie mogłoby być z powodzeniem... „5 godzin i telefon", albowiem niekiedy aż tyle czasu zabiera montaż tej pozycji. Jest to jednak praca, która daje dużo zadowolenia, jeśli interwencja radiowa przyczyni się do załatwienia tej czy tamtej bolączki. Pomysł doceniła i Warszawa, przyznając red. Danielakowi w 1970 r. nagrodę Komitetu do Spraw Radia i Telewizji.

Przypominamy o tym, bo właśnie w październiku tego roku przypada kolejne święto lubelskich dziennikarzy: 20-lecie rozgłośni radiowej. Powstała ona jako Ekspozytura Programowa Polskiego Radia. 240-godzinny program roczny (!) emitowano wyłącznie za pośrednictwem radiofonii przewodowej, jak to się określa fachowo. Cóż — był to czas, kiedy odbiornik radiowy należał do luksusów, w wielu świetlicach, domach, nie tylko na wsi, królował głośnik. Dopiero po kilku latach uruchomiono nadajnik o „zawrotnej" mocy 1 kW, który umożliwił nadawanie programu na falach średnich o zasięgu odbioru aż... 15—20 kilometrów.

— Do 1964 roku — wspomina redaktor naczelny rozgłośni, Tadeusz Tłuczkiewicz — mieściliśmy się w dzierżawionej małej willi przy ul. 22 lipca 5. Uprzednio była tam stołówka PKWN. Przechowały się nawet dwa duże kotły do przygotowywania potraw. Willa miała ciekawą historię, w czasie okupacji mieszkał w niej podobno sam szef gestapo, Globocnik. Jak głosiła fama, ukrył on w willi cenne dokumenty, niektórzy mówili, że i złoto. Nie zdziwiła więc nas specjalnie wizyta przedstawicieli odpowiednich władz, którzy zaczęli opukiwać budynek: w pewnym momencie odkryli dziurę w tynku, oczywiście odpowiednio ją powiększyli... Stare dzieje! Niezapomniany Ryszard Schreiter twierdził, że w rozgłośni „coś straszyło". Straszyły... myszy. Nasza spikerka z krzykiem uciekła kiedyś na stolik mikserski!

Siedzimy w przytulnym gabinecie szefa. Nowy gmach przy ul. Obrońców Pokoju 2 ma doskonałe wyposażenie techniczne. Studiów jest aż pięć, wśród nich — studio muzyczne o kubaturze 2 tysięcy m³. Jest to studio przyszłości, w tej chwili na pewno nie w pełni wykorzystane. A przecież już obecnie lubelska rozgłośnia nadaje dziennie średnio trzy godziny programu lokalnego na falach średnich i UKF i coraz częściej wnosi swój wkład do programu centralnego. W ub. roku ów wkład osiągnął 324 godziny, prawie pięciokrotnie więcej niż w 1965 roku. Mimo szczupłej obsady kadrowej, Lublin pod tym względem jest na piątym miejscu wśród wszystkich rozgłośni regionalnych kraju, co należy obiektywnie zaliczyć do nie byle jakich osiągnięć.

Dodajmy, że program lokalny emituje dziś Centrum Nadawcze w Bożym Darze za pośrednictwem dwóch nadajników o łącznej mocy 60 kW i dwóch nadajników UKF.

— Na 79 zatrudnionych u nas osób mamy 23 dziennikarzy — kontynuuje red. Tłuczkiewicz. — Problemy radia są inne niż problemy gazety: drukarzy nie zalicza się w gazecie do personelu technicznego, drukarnia stanowi odrębną instytucję, przynajmniej w Lublinie. W radiu dziennikarze bez personelu inżynieryjno-techniczne wiele nie zdziałają. Inne krajowe rozgłośnie, podobne do naszej, zatrudniają do 120 osób. Ta dysproporcja wiąże się z okresem powstawania poszczególnych placówek: im która powstała wcześniej, tym ma więcej pracowników. Był przecież okres radosnej twórczości, kiedy nie liczono się z etatami.

— W waszej pracy na co zwracacie największą uwagę?

— Na tak zwane audycje kontaktowe. Targa nami ciągły niepokój: czy mamy dość słuchaczy, czy my ich nie tracimy, czy my ich dobrze zdobywamy, czy w ogóle ich zdobywamy. Po napływających do redakcji listach, po konkursach, które organizujemy, widać, że mamy słuchaczy. Wielu z nich potrafi bezbłędnie wymienić nazwy naszych stałych pozycji, nazwiska najczęściej powtarzających się autorów. Poznają nas też po prostu po głosach. Nasze najwierniejsze ośrodki poza Lublinem to Chełm, Zamość, Bychawa... Niestety, niezbyt korzystny jest kierunek północny — Puławy, Łuków — z uwagi na ukształtowanie terenu.

— O ile wiem, dużym zainteresowaniem cieszą się wasze audycje i akcje zarazem: „Mikrofon w powiecie"...

— Tak. Do z góry upatrzonego i z góry uprzedzonego powiatu wyjeżdża ekipa dziennikarzy z wozem transmisyjnym, instaluje się w wygodnym miejscu, zakłada telefon, na którego numer mieszkańcy mogą dzwonić i zgłaszać swoje problemy, niezależnie od rodzaju i zakresu trudności sprawy. Część ekipy przyjmuje te telefony, a pozostali odwiedzają zakłady produkcyjne, instytucje, szkoły, stołówki, placówki kulturalne, zbierają materiał o życiu w danym mieście czy miasteczku. Zebrany materiał przepracowuje się na antenę i po upływie tygodnia odtwarza w półgodzinnym programie. Niezależne od tego przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej otrzymuje coś w rodzaju konspektu zawierającego zestaw najczęściej poruszanych na jego terenie problemów. „Mikrofon w powiecie" obejmuje swym zasięgiem miasta powiatowe, poza tym mamy inny typ audycji — „Radio u was", traktujący o ośrodkach gromadzkich i ponadgromadzkich, wyróżniających się efektami w wojewódzkich konkursach estetyki i gospodarności. Miejscowości są, powiedziałbym, pozytywne, ale szuka się w nich i negatywnych zjawisk. Po to, żeby ulepszyć, poprawić, żeby po prostu było w nich jeszcze lepiej. Obok dziennikarzy jeżdżą do tych mniejszych ośrodków aktorzy, zespoły estradowe. Służymy więc zarazem rozrywką. Jest to jakby nasza gospodarska rozmowa z władzami i mieszkańcami przeplatana częścią artystyczną. Myślimy o rozciągnięciu tego rodzaju spotkań na środowiska robotnicze.

Na biurku redaktora naczelnego leży plan audycji wrześniowych. Dla przykładu kilkanaście pozycji: dyskusja o wychowaniu młodego pokolenia, reportaż dźwiękowy — problemy budownictwa jednorodzinnego, Siedliszcze — zahamowanie aktywizacji, reportaż o wieloletniej budowie szpitala w Tarnogrodzie, dyskusja o komunikacji miejskiej w Lublinie, dyskusja o zabezpieczeniu materialnym starych ludzi na wsi, dyskusja o opłacalności wczesnego sprzętu buraków cukrowych, reportaż dźwiękowy o pracy młodego lekarza na wsi — Kto się boi Judyma, reportaż dźwiękowy z wzorowego zespołu młodych rolników, studenckie praktyki robotnicze, doświadczenia młodego pracownika po wyższych studiach, dyskusja o modelu współczesnej rodziny, przysłowia jako forma twórczości ludowej i ich wykorzystanie w literaturze, Dni Majdanka...

— Można wyliczać wiele audycji, zarówno cyklicznych jak i poświęconych odrębnemu tematowi. Staramy się podejmować najbardziej aktualne tematy, którymi żyje Lubelszczyzna, którymi żyje cały kraj. Dużą uwagę poświęcamy i samej informacji. Zasada jest taka: jeśli coś ważnego zdarzy się do godziny czternastej, powinno to znaleźć odbicie w naszym popołudniowym dzienniku.

— No i nie zapominajmy o muzyce...

— Jak można, skoro zajmuje ona ponad 60 procent naszego programu? Poza nagraniami jedynej w kraju Orkiestry Włościańskiej Namysłowskich z Zamościa, Lublin prezentuje sporo nowej i najnowszej (nikt nie wie, jakimi drogami zdobytej, chociaż... niech to będzie naszą słodką tajemnicą!) muzyki młodzieżowej. Program nocny, emitowany co drugi poniedziałek z Lublina w ogólnopolskim programie I, zdobył już i uznanie i szeroką popularność. Efekty są czasami nazbyt uciążliwe dla listonoszy. Otrzymujemy miesięcznie do tysiąca listów ze wszystkich zakątków kraju.

— Województwo lubelskie sąsiaduje z obwodami Białoruskiej i Ukraińskiej republik radzieckich. Nakłada to specjalne obowiązki...

— Specjalne i bardzo sympatyczne. Do tradycji weszły już wymienne audycje konkursowe. Np. tematem jednego z konkursów dla uczestników polskich było: „Moje spotkanie z żołnierzem radzieckim w latach II wojny światowej", a dla radzieckich — wspomnienie ze spotkania z żołnierzem polskim w tym samym czasie.

— Może teraz coś z ciekawostek. Ile nagrywacie w ciągu miesiąca taśm magnetofonowych?

— To już sami obliczcie. Obecnie stosowana taśma przesuwa się z szybkością 38 centymetrów na sekundę. Przemnóżmy to przez 1459 godzin programu lokalnego i centralnego... Gdy człowiek przemierza jakąś drogę, pragnie, aby ona miała jak najlepszą nawierzchnię. My chcielibyśmy, aby te taśmy były jak najlepiej wykorzystane. Nasza rozmowa odbywa się z okazji jubileuszu, a z okazji jubileuszu wypada mówić rzeczy przyjemne. Odbiegłbym od tego schematu. Wydaje mi się, że w naszych audycjach jest ciągle za dużo pouczania, za dużo wykładów ex cathedra; wszystko wiemy i wszystko innym przekazujemy. A przecież nie jest tak! Ludzie bardzo wiele wiedzą, często więcej od nas, trzeba to wykorzystać, więcej z ludźmi rozmawiać, dyskutować, dobierać najciekawsze formy. Kiedyś był u nas sztuczny podział na reportaż literacki i reportaż dziennikarski. Bzdura. Może być tylko jeden podział: na reportaż dobry i na reportaż zły. Język musi być prosty, zrozumiały, jasny. Zafascynowaliśmy się tym, że Lublin ma wiele wyższych uczelni. Zgoda, tak jest rzeczywiście, ale z pola widzenia umknęły nam problemy młodzieży z małych miast, wiosek. To trzeba naprawić. A w ogóle trzeba mówić krótko, ale treś-

Dokończenie na str. 8

Przed wyjazdem do NRD idź na ul. Świętokrzyską...

Właśnie teraz, 7 października, mijają 23 lata od chwili gdy powstała Niemiecka Republika Demokratyczna. Od 9 miesięcy obywatele PRL i NRD mogą swobodnie przekraczać granicę państwową, którą już w Układzie Zgorzeleckim z 6 lipca 1950 roku słusznie nazwano nienaruszalną granicą pokoju i przyjaźni.

Z okazji tej rocznicy przedstawiciele ambasady NRD w Warszawie oraz Ośrodka Kultury i Informacji NRD odwiedzą Lublin, aby na spotkaniach ze społeczeństwem naszego miasta mówić o swojej ojczyźnie, o wciąż zacieśniającej się współpracy i przyjaźni pomiędzy naszymi narodami. Korzystając z tych okazji, przeprowadziliśmy krótką rozmowę z dyrektorem warszawskiego Ośrodka Kultury i Informacji NRD, panem Norbertem Jonderko.

— Ledwie przecisnąłem się do pana przez parter, a i tu na piętrze na nadmiar miejsca narzekać nie można...

— Tak, nasze działy sprzedaży na parterze cieszą się niezmiennie wielkim powodzeniem. Głównie sprzedajemy książki i płyty, ale także drobne upominki, lalki, wyroby artystyczne i ludowe. Codziennie mamy ponad tysiąc klientów. Wielu z nich spędza tu całe kwadranse, nie tylko oglądając, ale i czytając książki czy broszury. Aparatura ze słuchawkami umożliwia przesłuchiwanie płyt bez przeszkadzania innym.

— Jaka pozycja wydawnicza cieszy się teraz największym powodzeniem?

— Nasza księgarnia jak i czytelnia dysponuje szerokim zestawem literatury pięknej, klasycznej i współczesnej, wielu tytułami technicznymi, przewodnikami. Ale od stycznia największym powodzeniem cieszy się mapa samochodowa NRD. Nazwy są podane w języku polskim, zaznaczono na niej wszystkie czynne campingi, stacje benzynowe i restauracje. To zainteresowanie jest wynikiem otwarcia naszej wspólnej granicy.

— Nasi rodacy są bardzo ciekawi. Właśnie przed chwilą spotkałem na parterze młodego mężczyznę, który — wybierając się służbowo do Berlina — już tu notował sobie adresy placówek filatelistycznych.

— Jesteśmy od tego, aby udzielać wszelkich możliwych informacji, chociaż specjalizujemy się w sprawach kulturalnych.

— Myślę, że od chwili otwarcia granicy macie w Ośrodku znacznie więcej pracy?

— Niepomiernie więcej. Fala wzajemnego zainteresowania wciąż wzrasta. Widzi pan, tak się działo w historii naszych narodów, że przy wzajemnych kontaktach najczęściej wybuchały konflikty, niosące cierpienia. Układ w Zgorzelcu jak i powojenna sytuacja polityczna w Europie wiele zmieniły. Ale droga do nawiązania prawdziwej przyjaźni nie była łatwa. Z korzyścią dla obu stron, dla pokoju na świecie, przebyliśmy już wielki szmat tej drogi. Teraz zaczyna się nowy etap. Nasz Ośrodek przy ul. Świętokrzyskiej istnieje już 15 lat, ale nigdy nie odczuwaliśmy takiego naporu na informacje o naszym kraju, jak teraz.

— Jak w nowych warunkach widzi pan dyrektor pracę Ośrodka?

— Pierwszym naszym zadaniem jest stałe zacieśnianie współpracy i przyjaźni między naszymi narodami, a przez to samo wzmacnianie rodziny państw socjalistycznych. Chodzi więc o udzielanie przez nas informacji o problemach, życiu, rozwoju NRD. Nie mogą to już być, jak dotychczas, informacje o charakterze ogólnym, bo teraz każdy Polak może wszystko sam zobaczyć na własne oczy. Teraz informacja musi być jeszcze bardziej wszechstronna, dokładna, szczegółowa, a zarazem ułatwiająca poruszanie się w naszym kraju.

— Nie ogranicza się to chyba do ludzi, którzy tutaj przychodzą już z gotowymi pytaniami?

— Oczywiście że nie. Na prelekcje i dyskusje sprowadzamy z NRD różnego rodzaju fachowców — naukowców, nauczycieli, inżynierów, aktorów, plastyków, dziennikarzy itd. Organizujemy wystawy na różne tematy, jak np. teraz w Lublinie. Dostarczamy filmy, zainteresowanym wysyłamy uprzednio katalog. W porozumieniu z polskimi uczelniami organizujemy spotkania germanistów i lektorów języka niemieckiego w PRL. Kursów języka niemieckiego w zasadzie nie prowadzimy, uważamy bowiem, że nauka naszego języka w waszych szkołach i uczelniach odpowiada potrzebom. Natomiast prowadzącym takie kursy dostarczamy podręczników i różnych książek, mamy także zestaw ponad stu taśm. W Warszawie otwieramy tylko kursy konwersacyjne, doskonalące. Dla nauczycieli języka niemieckiego wydajemy jeszcze dwa razy w roku specjalny biuletyn, a ponadto co roku urządzamy cieszące się ogromnym powodzeniem konferencje. Dużą wagę przykładamy wreszcie do imprez, organizowanych przez nas w polskich zakładach pracy. Uważamy, że w ten sposób poprzez klasę robotniczą przygotowujemy się do pełnej integracji pomiędzy naszymi narodami obok już postępującej integracji ekonomicznej.

— Pierwsze fale turystów z obu stron też były, co tu ukrywać, ożywione aspektami ekonomicznymi...

— Nic nie szkodzi, to normalne. Jak można sprawdzić w sklepach waszych i naszych, zaopatrzenie ilościowe i jakościowe wyrównuje się i to na wysokim poziomie, co jest korzystne dla obu stron. Dobrze, że taka prywatna integracja poprzedza integrację państwową. To jest dobrej jakości cement, zbliżający pojedynczych ludzi.

— Jest pan, panie dyrektorze, chodzącym przykładem prawdziwej przyjaźni i współpracy. Tak doskonała znajomość języka polskiego...

— Ukończyłem slawistykę w Lipsku, byłem oficjalnym tłumaczem podczas pobytu polskich delegacji partyjno-rządowych w NRD, pracowałem w polskim Ośrodku Kultury w Berlinie, w latach 1957—1958 byłem pracownikiem tutejszego Ośrodka, w 1970 jego filii krakowskiej, a od pół roku kieruję Ośrodkiem warszawskim. W międzyczasie — wy to nazywacie germanizmem, ale mnie proszę wybaczyć — ponad 4 lata pracowałem w Ośrodku NRD w Pradze, a przez 4 lata w Sofii. Znam więc niemal równie dobrze język czeski i bułgarski.

— Ośrodek przy ul. Świętokrzyskiej przechodzi obecnie remont. Czy nie sądzi pan, że wobec wzrastającego zainteresowania waszym krajem przydałoby się jego rozszerzenie?

— Mimo bardzo wielu niewygód Ośrodka na czas remontu nie zamknęliśmy, chociaż bibliotekę musieliśmy unieruchomić. Staramy się również o rozszerzenie naszego lokalu, ale, jak pan wie, w Warszawie to nie takie proste. Myślę jednak, że w przyszłym roku będę mógł pana oprowadzić po naszych nowych pomieszczeniach.

— Dziękuję za rozmowę. Mam nadzieję, że prędzej zobaczymy się w Lipsku. Właśnie wybieram się do Zielonej Góry, a stamtąd to już niedaleko.

Rozmawiał jd

Pomnik Karola Marksa w Karl-Marx-Stadt

Fot. Archiwum

Kamena str. 3

Na litoralu rumuńskim

Jerzy Dostatni

GDYBYM mógł, to w okresie letnim wysłałbym przynajmniej dziesięciu lubelskich dyrektorów, ekonomistów i zaopatrzeniowców na przymusowy, służbowo opłacony urlop do Rumunii. Ściślej — na rumuński litoral, czyli wybrzeże, od Mamai poczynając, przez Konstancę, obie Eforie, Costinesti do Mangalii Południowej. Szefem tej ekipy mianowałbym zastępcę przewodniczącego WKKFiT do spraw turystyki. W pierwszym tygodniu dałbym wszystkim całkowity urlop, aby się opalali, jedli i tylko patrzyli, jak są zaopatrywani, obsługiwani, jak się dba o ich zachcianki, organizuje dla nich atrakcje itp. W drugim tygodniu wystarczyłyby tylko przedpołudnia, aby mogli podpatrzeć i pogadać z rumuńskimi kolegami, jak to się dzieje, że w okresie największego turystycznego potopu hotelarstwo, gastronomia, handel, komunikacja, sprzątanie plaż i ulic, podlewanie drzew, trawników i skwerów funkcjonuje na medal. I że w tym diabelskim ruchu urlopowym ani razu nie można zobaczyć wywieszki w rodzaju: remanent, przyjęcie towaru, wyszłam do banku...

Bo to jest doprawdy rzecz zadziwiająca. Rumunia nie należy przecież do krajów najbogatszych, nawet wśród dorabiających się dopiero krajów socjalistycznych. Przeciętny poziom stopy życiowej jest niewątpliwie niższy niż u nas, procent ludzi z wyższym wykształceniem także. A przecież Rumuni nie tylko wybudowali olbrzymią bazę turystyczną, nowoczesną i piękną, ale przede wszystkim umieją ją sprawnie wykorzystać. I mimo że cała ta baza jest wykorzystywana tylko od połowy maja do końca września, sezonowe jej uruchamianie opłaca się w sposób widoczny nie tylko mieszkańcom litoralu, ale i całej gospodarce. Podejrzewam nawet, że Rumuni od dawna stosują zasadę rachunku całościowego, kosztów i zysków kompleksowych we wszystkich dziedzinach związanych z turystyką, nie oglądając się na partykularne interesy poszczególnych placówek czy nawet przedsiębiorstw. Dzięki temu turystyka jest jednym z głównych źródeł dochodu narodowego.

W okresie sezonu turystycznego na rumuńskim litoralu — wszystkiego około 100 km od Mamai do Mangalii — przebywa ponad 3 miliony turystów. Przejeżdżają w wieloosobowych wycieczkach i indywidualnie. Samolotami, koleją, samochodami, autostopem, motocyklami, rowerami. Widziałem nawet wozy ciągnione przez poczciwe osiołki oraz wehikuł, stanowiący połączenie samochodu z początków XX wieku oraz naszej okupacyjnej rikszy. Najwięcej jest mieszkańców NRD i NRF, następnie Polaków i Czechów, ale nie brakuje też obywateli ZSRR, Francji, Włoch czy Anglii. Wszystkich przyciąga tu nie tylko gwarantowana piękna pogoda, znakomicie zagospodarowane wybrzeże, wspaniałe plaże, niesamowita wprost liczba hoteli, lokali gastronomicznych, barów, sklepów, kiosków i różnych atrakcji — ale przede wszystkim widoczna na każdym kroku dbałość o turystę.

Prawda, że nie bezinteresowna. Turyście na wszelkie sposoby i w każdym miejscu wyciąga się z kieszeni leje, marki, złote, ruble, dolary, funty, franki czy korony. Chociaż za wspaniałe powietrze i cudowne morze nie płaci się ani taksy turystycznej ani wstępu na plażę. Mimo że plaże są rzeczywiście zagospodarowane — bulwary, szerokie schody na brzeg, tarasy, tysiące kwiatów, prysznice ze słodką wodą, czyste ubikacje, kioski, łodzie, rowery wodne, mola, wieczorem różnokolorowe latarnie. Wszystko, podobnie jak ulice, skwery i parki — o świcie gruntownie sprzątane. Jedyną chyba niedogodność stanowi duża ilość grających tranzystorów, które dla naszych gospodarzy stanowią widocznie wciąż atrakcyjną nowość.

Przed lub po plażowaniu jest mnóstwo okazji do wydania pieniędzy. Zadziwia przede wszystkim nieprawdopodobna wprost liczba lokali gastronomicznych — od najbardziej luksusowych, gdzie za porcję kurczaka i kieliszek wina trzeba zapłacić (w przeliczeniu) 100 zł, aż do barów samoobsługowych, gdzie można zjeść przyzwoity obiad za 15—20 zł.

Ale nawet najskromniejszy bar samoobsługowy tak się różni od naszego np. baru Centralnego, jak tenże Centralny od „Europy".

Oto bar samoobsługowy Vraia Maria przy ul. Dorolui w Eforie Sud. Na obszernym tarasie tuż przy ulicy kiosk z napojami chłodzącymi i kilkanaście stolików, których nikt nie okupuje dłużej niż 5 minut. Dwa wejścia prowadzą do dwóch dużych sal jadalnych o trzech ścianach i szklanych dachach. W każdej sali po 50 stolików. Między salami otwarty basen z wodotryskiem (zawsze czynnym), podświetlonym kolorowo i otoczonym doniczkami z kwiatami. W głębi — długi bufet. Najpierw różne lady chłodnicze, potem lady ogrzewane lampami — na nich dziesiątki bez przerwy uzupełnianych dań. Wybiera się według gustu i finansów. Dwie kasjerki błyskawicznie obliczają należność. Wśród stolików nieustannie uwijają się ładne dziewczęta, sprzątając naczynia i zmywając stoły. Dosłownie pół minuty po odejściu jednych klientów stolik jest gotów do przyjęcia następnych, bo tu — jak wszędzie — obsługa czeka na klienta, a nie odwrotnie.

Podobnie dużo obsługi jest w sklepach. Widać, że tu rzeczywiście obowiązuje zasada: duży obrót (chociaż nie zawsze: mały zysk). I druga zasada: klient nasz pan. To nie są slogany. Kierownictwo gastronomii i handlu wie, że klient, który czeka lub został niegrzecznie obsłużony — jutro, za tydzień czy za rok klientem już nie będzie. Personel szanuje pracę, bo wie, że inaczej grozi natychmiastowe zwolnienie, a konsekwencją będą duże trudności w znalezieniu następnej. I rzecz niby normalna, a w porównaniu z Lublinem zadziwiająca. W ciągu dwóch miesięcznych tam pobytów tylko raz, na koniec sezonu, widziałem napis: „remanent", ani razu: „przyjęcie towaru" lub „wyszłam na chwilę".

Nieporównanie sprężyste (znów w porównaniu z Lublinem) jest zaopatrzenie w różne napoje chłodzące. Rzeczywiście chłodzące — bo wszystkie z lodu lub z lodówek. Coca-coli nie ma w ogóle, ale dosłownie zawsze są Pepsi-cola, Quick, cytronady, mleko słodkie i kwaśne (krowie i owcze), nektary owocowe, soki, woda mineralna (w litrowych butelkach po 2 zł). Są tuż po otwarciu placówek i tuż przed ich zamknięciem, w południe i wieczorem. Zaopatrzenie odbywa się prawie wyłącznie w nocy. Liczyłem przed kilku kioskami — wystawiano do wymiany po dwa, trzy tysiące pustych butelek samej tylko Pepsi-cola. Nie zdarzyło mi się ani razu odejść od jakiegoś kiosku z wyschniętym gardłem.

Jeżeli już o napojach, to jeszcze kilka słów o alkoholach. Sklepy prezentują bogaty asortyment koniaków, likierów i wódek, nie tylko krajowej produkcji. Rumuni piją prawie wyłącznie wino. Słabe, ale pachnące i ułatwiające trawienie, gaszące pragnienie po spożywanych tu w dużych ilościach papryce, pieprzu i gogosari. Przez dwa miesiące widziałem tylko dwóch pijanych Rumunów, w tym jednego na dworcu w Mangalii, gdy odprowadzał wyjeżdżającą wycieczkę polską. Koniaki i bardziej szlachetne trunki kupują — i nie zawsze piją już na miejscu — turyści. Jest także dość dużo polskiej „Żytniówki" — najczęściej znika w kieszeniach i torbach naszych rodaków.

Równie sprawne jest zaopatrzenie w lody. Wyrabia się je centralnie w Konstancy, głównym porcie Rumunii, stolicy Dobrudży, a potem rozwozi po całym litoralu w 10-kilogramowych konewkach. Wybór jest niezmiennie szeroki: waniliowe, rumowe, kakaowe, czekoladowe, pistacjowe i cassate (z rodzynkami). Stosunkowo tańsze niż u nas i znacznie lepsze. Sprzedaje się je w specjalnych lodziarniach lub w plastykowych kubeczkach z łyżeczkami — w rozlicznych kioskach. Są również automaty podobne do naszych, ale lody tam gorsze, chociaż tańsze.

Sklepy spożywcze i lokale gastronomiczne otwarte są od godziny 6 lub 7 rano do 21, część restauracji do godziny 23 lub 24, nie mówiąc o lokalach nocnych. Sklepy innych branż od 8 do 20 z półtoragodzinną przerwą na obiad. Komunikacja autobusowa wzdłuż całego litoralu niezwykle sprawna — trudno czekać na przystanku dłużej niż 2—3 minuty. Chyba ze względu na cudzoziemców samoobsługa w autobusach nie istnieje. Pociągi, jeżdżące wzdłuż tej samej trasy, mają po 12—15 pulmanów. Niektóre autobusy po zdjęciu dachów przerobiono na kształt łodzi, co stanowi nie lada atrakcję zwłaszcza dla młodszych turystów. Po każdej miejscowości jeżdżą małe, kolorowe samochodziki z przyczepami, przerobionymi na przytulne wagoniki, a w miejscowym Orbisie można w każdej chwili wynająć luksusowy autokar bądź zapisać się na wycieczkę w głąb kraju lub do Odessy albo Warny, a także po delcie Dunaju. Ogromną popularnością, co oznacza szybką amortyzację, cieszą się salony gier automatycznych. W przemyślnych aparatach można grać w piłkę nożną lub koszykówkę, latać samolotem, prowadzić samochód, badać szybkość refleksu lub hazardować się na niewielkie sumy.

Natomiast z prasą różnie bywa. Rumuńskiej nie brakuje, zarówno dzienników jak czasopism kulturalnych (bardzo poczytnych) czy magazynów. W drugiej połowie sierpnia największym powodzeniem cieszył się oczywiście ukazujący się codziennie „Sportul". Jest po kilka tytułów niemieckich, rosyjskich, angielskich i czeskich, trzy dzienniki francuskie i trzy tygodniki, natomiast prasy polskiej mniej niż na lekarstwo. W mikroskopijnych ilościach przychodzą tylko „Trybuna Ludu" i „Życie Warszawy" (po 30 bani czyli 65 groszy, także wydania niedzielne), które można nabyć w ciągu kwadransa tylko w Konstancy lub Eforie Nord. Nic dziwnego, że krążą potem z rąk do rąk aż do zupełnego zdarcia. Gdyby ich było w sprzedaży 15 czy 20 razy więcej — też zniknęłyby bez śladu. A rzecz jest tym bardziej niezrozumiała, że bezpośredni pociąg z Warszawy przez Konstancę, Eforie do Mangalii jedzie wszystkiego 30 godzin. Cóż na to Wydział Zagraniczny naszego „Ruchu", który zdaje się nie słyszeć zlorzeczeń rodaków, skazanych przez cały urlop tylko na jednominutowe audycje informacyjne Radio Vacanta w językach rosyjskim, angielskim, francuskim i niemieckim.

Ale zostawmy naszych handlowców i gastronomików. Są już dostatecznie zmaltretowani porównaniami — niech idą nad niebiesko-zielone morze i wyciągnięci na gorącym piasku rozmyślają, co robić, aby chociaż część rumuńskich doświadczeń na polu turystyki przenieść do naszego województwa, na Roztocze, na Pojezierze czy nad Wisłę. Może wreszcie i nasz WKKFiT nabierze przekonania, że turystyka to rzeczywiście bogate źródło dochodu i ożywienia gospodarczo-społecznego pod warunkiem jednak, że planuje się rozsądnie, że najpierw buduje się bazę, a potem dopiero nawołuje do turystyki — a nie odwrotnie, że najpierw trzeba włożyć, a dopiero później wyciągać korzyści.

Zajmijmy się natomiast reumatykami. Tak, reumatykami, bo właśnie oni stanowią pokaźną część tych, którzy zwłaszcza w Eforii Nord i Eforii Sud spędzają swoje urlopy. Obie te miejscowości leżą wzdłuż wąskiego przesmyku między Morzem Czarnym a wielkim jeziorem. Ląd stały zwęża się tu niekiedy do 100 metrów, tak że tor kolejowy, czteropasmowa szosa pokryta pięknym asfaltem i plaża ledwo się mieszczą koło siebie.

Reumatyków interesuje przede wszystkim owo jezioro o powierzchni kilku tysięcy ha. Stężenie soli dochodzi w nim do 25 procent. Wskutek tego jest ono wprawdzie całkowicie pozbawione życia biologicznego, ale nawet człowiek nie umiejący pływać nie może w nim utonąć, przede wszystkim jednak jest to jedna wielka solanka naturalna. Brzegi są trudno dostępne, ale z rozmachem urządzono kilka kąpielisk z dużymi plażami. Za wstęp płaci się tu 3—4 leje (6—8 złotych), w zamian jednak otrzymuje się nie tylko nieograniczoną możliwość korzystania z tej solanki, ale także z dowożonej codziennie borowiny, a także bezpłatnej już porady lekarskiej, szatni oraz zimnych i ciepłych pryszniców. Kąpieliska są osobne dla kobiet, mężczyzn i dzieci. Przebywa się tam zupełnie nago (chociaż to nie jest obowiązkowe) w temperaturze przekraczającej często 40 stopni w słońcu. A ponieważ prawie wszyscy smarują się borowiną — niektórzy pozostawiają wolne tylko oczy i usta, inni malują różne części ciała w „esy-floresy lub „pikasy" — widok za pierwszym razem jest dosyć niesamowity. Zwłaszcza, że po nasmarowaniu borowiną części ciała dotknięte reumatyzmem szczególnie eksponuje się na działanie słońca. Jedni więc wyglądają jak abstrakcyjne pomniki, inni przyjmują — na stojąco, klęcząco lub leżąco — pozy, jakich mogą im pozazdrościć najbardziej wyrafinowani mistrzowie jogi. Wszystko razem przypomina najbardziej autentyczne przedpiekle, w którym jednak reumatyzm zostaje wyleczony na rok lub dwa.

Nasze biura podróży, łącznie z lubelskimi filiami, organizują każdego roku wiele wycieczek na wybrzeże rumuńskie. Nie są one zbyt tanie, chociaż w zamian turyści otrzymują nie tylko wspaniałości natury, ale i stworzony przez gospodarzy luksus. Inni urządzają się taniej i wyjeżdżają prywatnie, co po ułatwieniach paszportowych i możliwości wymiany odpowiedniej sumy złotówek nie nastręcza większych trudności ludziom średnio zarabiającym. Usprawnienia natomiast wymaga sprzedaż biletów sypialnych turystom indywidualnym. Na trasie Warszawa — Mangalia kursują codziennie dwa wagony sypialne. Większość miejsc jest rezerwowana dla wycieczek. Indywidualnym w Lublinie sprzedaje się bilety tzw. open — to znaczy, że dopiero na miejscu w rumuńskim biurze podróży należy ustalić dzień wyjazdu i numer miejsca. Niesie to ze sobą duże ryzyko, bo nieraz trzeba czekać kilka dni, aby doczekać się wolnego miejsca. W dodatku przed dwoma laty załatwiało się to w Mamai, przed rokiem w Mangalii, w roku bieżącym w Eforie Nord — o czym nasze biura podróży nie mają pojęcia. W lipcu po przełamaniu oporów w lubelskim biurze podróży udało mi się uzyskać numerowane miejsce na powrót. Potrzebna była aż interwencja dyrektora warszawskiej centrali Polresu. Tymczasem wracaliśmy do kraju wszystkiego sześć osób w wagonie. Jak to się stało — stanowi słodką tajemnicę naszych biur podróży. Ale gorzkie doświadczenie ich klientów, co jest jednym z dowodów słabości naszej organizacji turystyki zagranicznej.

P. S. Aha — są i plaże dla nudystów. W Costinesti normalna w pewnym nieogrodzonym miejscu przechodzi stopniowo w plażę dla nudystów. W Eforie Nord są przydzielone niezbyt wysokim płotem solaria męskie i damskie. Płot kończy się 10 m przed brzegiem i z jednego solarium można swobodnie obserwować wszystkich, którzy schodzą do morza z drugiego. Zresztą koło południa następuje dość duże wymieszanie osobników obu płci, co nikogo nie zenuje, a poniektórych żywo interesuje.

Pod bokiem Kara-Kum

Dokończenie ze str. 1

dużo liczb i spacer po fabryce. Dyrektorką jest smagła, przystojna Turkmenka w tradycyjnym stroju: długiej fioletowej sukni przetykanej złotymi nićmi. Taka suknia nazywa się „kejniak". A jak się nazywają spodnie-szarawary, wystające spod kejniaka? Towarzyszka dyrektor naprawdę się rumieni. „O spodniach i w ogóle o odzieży pod suknią nie wypada mówić, zwłaszcza z mężczyznami". Ale wypada mówić o srebrnych monetach przyszpilonych do długich czarnych warkoczy. „To nasza tradycyjna kobieca ozdoba".

W holu na ścianie dywan, który nazywa się „Przyjaźń narodów". Ma 24 metry kwadratowe i prawie sto kolorów. Wielkie mnóstwo sylwetek — przedstawicieli narodowości zamieszkujących Kraj Rad.

Co świadczy o tym, że jakiś dywan jest cenniejszy, świetniejszy od innych? Liczba węzłów przypadających na metr kwadratowy, piękno ornamentu, ilość barw, wielkość dywanu, jakość wełny...

Średnio na metr kwadratowy kobierca przypada 340 tys. węzłów. Ale mają tu sztukę, w której na każdym metrze jest 1 148 000 węzłów! Można tę sztukę obejrzeć w małej salce wystawowej. Są tu dywany dwustronne (po każdej stronie inny ornament), są nagrodzone, słynne. W 1937 roku dyplom na paryskiej wystawie. Pięć złotych medali przy różnych międzynarodowych okazjach. Eksport do 45 krajów.

Ta aszchabadzka jest jedną z jedenastu turkmeńskich fabryk, które w zeszłym roku dały 30 tys. metrów kwadratowych dywanów, a w tym roku — dadzą o 3 tys. m kw. więcej. 27 tys. m kw. idzie na eksport. Ponadto produkuje się 30,5 tys. m kw. dywanów „gładkich". na rynek samej Turkmeńskiej SRR. Ale ciągle za mało, bo każda rodzina musi mieć dywan, a rodzin przybywa szybciej niż dywanów. I każda czajchana musi mieć dywan, na którym popija się zieloną herbatę, a dywany w czajchanach szybciej podlegają zużyciu.

Metr kwadratowy dywanu kosztuje 180 rubli. Spore sumy płyną w dewizach za ten turkmeński towar, na który popyt jest stale wyższy od podaży.

Aziz Bagirow, dyrektor Zjednoczenia „Turkmenkawior" (kawior to oczywiście dywan), odpowiada na nasze pytania:

— Przeciętna wielkość dywanów?

— 6 do 8 metrów kwadratowych.

— Czy całość produkcji odbywa się na terenie fabryki?

— Nie. Ponad 60 procent zatrudnionych to chałupniczki, którym dostarcza się surowiec i projekt. Przy okazji: nad nowymi projektami pracują u nas w laboratorium artyści-plastycy. Pewne ornametny są stare, tradycyjne, ale i one podlegają twórczym przekształceniom.

— Czas pracy w fabrykach?

— Od ósmej do siedemnastej, z godzinną przerwą.

— Zarobki?

— Do 140 rubli miesięcznie. Średnio — około 110 rubli.

— Nowa kadra?

— Każdego roku kształcimy w zawodzie 400 dziewcząt. Przychodzą zwykle do fabryk po 8 klasie, mając 16 lat. Szkolenie trwa 3—6 miesięcy, to na ogół wystarcza, żeby zaczęły pracować samodzielnie. W jednym z techników jest wydział produkcji dywanów. Uczy się tam 25 dziewcząt. To oczywiście typowo kobiecy zawód, ale mamy chłopca-jedynaka.

— Dalszy rozwój tej branży?

— Pierwsza rzecz: rekonstrukcja istniejących fabryk. Są stare, wymagają przebudowy. W dwóch miastach budujemy zakłady całkowicie nowe. Znacznie wzrośnie zatrudnienie.

— Normy produkcyjne?

— 7 do 8 tys. węzłów na dniówkę. Skoro wiecie, ile tysięcy węzłów przypada w wypadku prostszych dywanów na metr kwadratowy, i ile tych metrów ma przeciętnie dywan — łatwo obliczycie, jak długo trwa praca jednej robotnicy nad jednym dywanem. Przy bardziej skomplikowanych zamówieniach — kiedy chodzi np. o portret — norma jest oczywiście niższa; wykonując portret, trudno zapleść przez dniówkę więcej niż 4750 węzłów...

W niewielkiej hali fabrycznej jest prawie całkiem cicho. Przy każdym krośnie po kilka kobiet — najczęściej jedna starsza z dwoma, trzema młodziutkimi. W aszchabadzkim zakładzie pracuje około 400 kobiet, z tego 112 tu, na miejscu, a reszta chałupniczo po domach. Która z tych kobiet, pochylonych przy krosnach, jest Ogulnabad Muchomiedową, posłanką do Rady Najwyższej ZSRR?

Towarzyszka dyrektor wskazuje smagłą, młodą kobietę w kejniaku, ale nie chcemy jej niepokoić. Rytm pracy, będącej zarazem sztuką, każe intruzowi milczeć i tylko przyglądać się w podziwie — skupionym twarzom, złotym rękom.

W SOCHWOZIE. Jeszcze jeden dzień zielonego Aszchabadu. Nasz opiekun, Paweł Ionow, kierownik turkmeńskiego oddziału Nowosti, próbuje mnie skontaktować ze swoim przyjacielem, starym Polakiem, słynnym łowcą pustynnych żmij. To spotkanie nie dojdzie do skutku — po prostu z braku czasu — a ja za wszelką cenę chciałbym zdybać jakiegoś rodaka pod aszchabadzkim niebem. Dawniej, jak na całym carskim terytorium, było ich tu wielu. W carskim wojsku, przy budowie kolei. Kiedy przyszedł Październik, liczni stanęli po stronie bolszewików; niektórzy bali się ich jak diabła, sprzymierzali z kontrrewolucją, czekali niby zbawienia — interwencyjnych wojsk angielskich. Przez jakiś czas kontrrewolucjoniści panowali nad „miastem miłości" (tak się tłumaczy nazwa Aszchabad), rozprawiwszy się z „krasnoarmiejcami" i zakatowawszy wielu bolszewickich komisarzy. Zajęli kilka miast na wschód od Aszchabadu, m. in. Merwu. Ale — czytam we wspomnieniach jednego z „białych" Polaków — *nadaremno wyczekując pomocy obiecanej przez Anglików znajdujących się w Persji, zmuszeni byli pod naciskiem przeważających sił stopniowo się cofać na zachód. Na dwa dni przed opuszczeniem przez nich Merwu nadeszła pomoc angielska w liczbie dwudziestu kilku sipajów induskich, zaopatrzonych w karabiny maszynowe. Sipaje zasiedli w zaroślach o 8 km na wschód od Merwu. Ogień ich karabinów rzeczywiście powstrzymał nawałę bolszewicką, lecz na krótko.*

Tej „nawały" nie dało się powstrzymać, bo to wszędzie — w Rosji, Turkmenii czy Kirgizji — była „nawała" uciskanych przeciw uciskającym. A Polacy, którzy z tą „nawałą" szli i nierzadko ginęli, mają tu swoje nazwiska na pomnikach i tablicach pamięci.

Ionow wiezie nas dziś pod Aszchabad do sowchozu im. 9 komisarzy — bestialsko pomordowanych przez kontrrewolucję. W centrum gospodarstwa stoi tablica z fotografiami dziewięciu.

Długie, schludne uliczki, parterowe domki, małe przy nich ogrody.

Osiem lat temu jeszcze tego ogromnego sowchozu nie było. Po prostu nie istniał, bo nie mógł

Kamena str. 4

Kultura czyli samo życie

Ireneusz J. Kamiński

PEWIEN znakomity aktor białostockiego Teatru im. Węgierki zwykł mawiać, że „do domu kultury idzie się po kulturę, do knajpy zaś — po życie". Niech mi zasłużony artysta wybaczy, lecz takie złote myśli mogą rodzić się tylko z nieznajomości życia, jego barwnych skomplikowań i niespodzianek. Dokumentacją tego wniosku niech będzie tych kilka opowieści, wziętych prosto z... kultury.

Było to dawno, lecz na tyle rzecz jest świeża, że pamiętają ją mieszkańcy Turkowic w powiecie hrubieszowskim. Otóż istniała tam biblioteka gromadzka posiadająca ok. 2000 książek, o 3000 mniej od normy przewidzianej na liczbę tamtejszych mieszkańców, co w końcu nie dziwi, należąc do zjawisk banalnych. Gorzej wszakże, że nawet ten skromny księgozbiór nie miał zbyt wielu amatorów. Biblioteka Powiatowa w Hrubieszowie określała sytuację czytelnictwa jako opłakaną: kto zna styl i ton sprawozdań resortu kultury, ten wie, że słowa podobne znaczą właściwie „absolutne dno".

Wnikliwe badania ustaliły źródło niechęci obywateli Turkowic do książek, którym to źródłem okazała się kierowniczka biblioteki, pani Alicja H. Swoje ważne obowiązki lekce sobie ważyła, nie zachęcała ludzi do czytania publikacji marki „Tygrys", ani nawet do „Poradnika wzorowego rolnika". Często w ogóle zamykała bibliotekę, pokój o wymiarach trzy na trzy metry, mieszczący się w budynku władzy gromadzkiej, i szła daleko, hen, na punkt skupu ziemniaków. Tamże wzmacniała nasz potencjał gospodarczy, szybko i sprawnie przyjmując od rolników płody hrubieszowskich czarnoziemów. Na punkcie skupu pracowała solidnie, chwalona przez gromadzką radę narodową, która jej tę pracę zleciła. Więc wynikł konflikt postaw i poglądów: Biblioteka Powiatowa twierdziła, że to źle, a może nawet skandal, że przecież panią H. postawiono przy książkach dla dobra kultury i za opłatą, a ona tymczasem..., na co zainteresowana nie reagowała, mocno popierana przez lokalną władzę.

Przypadek ten nie byłby przecież godny uwagi, jako że wiadomo nam o licznych i podobnych, gdyby nie fakt, że stan taki trwał dwa lata. Biblioteka Powiatowa upominała panią H., groziła, odwoływała się do Prezydium GRN, lecz na tych pogróżkach się kończyło, albowiem działaczka ziemniaczana Turkowic miała wsparcie w owej radzie gromadzkiej, która nie dostrzegała w sytuacji nic zdrożnego. Czytelnictwo książek rozwinięte na przestrzeni stąd do morza nigdy przecież nie da się porównać z korzyściami, jakie przynosi wykonanie planu skupu ziemniaków. Panią H. wylano z posady bibliotecznej dopiero po interwencji Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Tak zatem po życie należy zmierzać w kierunku kultury, żadna knajpa równie silnych i długotrwałych wrażeń nie dostarczy. Bo na przykład:

Powiat biłgorajski jest to bardzo piękny powiat, a miasto samo jest jeszcze piękniejsze, a najpiękniejszy jest chyba rzeźbiarz ludowy ze wsi Lipiny, Jan Siek, który w wieku ponad osiemdziesięciu lat z diabłami potyka się w swojej chacie, po czym wsiada w autobus i przywozi swoje dzieła do Lublina. Tu je z pożytkiem sprzedaje, zachowując trzeźwość umysłu godną trzydziestolatka, który nigdy w życiu diabła na oczy nie widział i nie ma zamiaru. Ostatnio przecież wydarzyła się w tym powiecie rzecz znacznie ciekawsza, albowiem odsłaniająca przeciętne myślenie o zabytkach architektury, realizowane w sposób nieprzeciętny, choć, jak później zobaczymy, wcale nie unikalny. „W społeczności wiejskiej odbywa się obecnie proces ujednolicania się wzorców kultury" — stwierdza socjolog. I ma rację.

Oto we wsi Józefów, która pełni funkcję ośrodka ponadgromadzkiego i chwali się niedawno otwartym muzeum biograficznym poety-powstańca Romanowskiego, postanowiono wznieść w czynie społecznym wiejski dom kultury. Inicjatywa pożyteczna i na pewno potrzebna w tej miejscowości. A trzeba wiedzieć, że józefowski przewodniczący Prezydium GRN jest człowiekiem rzutkim, ambitnym i zręcznym, uważnie wsłuchanym w potrzeby terenu. Co uzna za racjonalne i postanowi, to zrobi. Z rozpoczęciem inwestycji były przecież pewne kłopoty natury finansowej, no, brakowało tych parę tysięcy własnych środków, potrzebnych do uznania budowy za „czynową".

Historia zrządziła, że w Józefowie jest przecież stary, zabytkowy obiekt architektoniczny, którym zainteresował się wojewódzki konserwator zabytków. W ślad za uwagą sypnął pieniędzmi w wysokości 200 tysięcy złotych — na konserwację obiektu. Przewodniczący przyjął walutę, ucieszył się zapewne, bo powiat biłgorajski dość ubogi w zabytki... Radość trwała jednak krótko, przewodniczący popadł w rozterkę, rozpiętą na następujących faktach: na budowę domu kultury brak pieniędzy — zabytek jest w takim stanie, że kara boska dla tego, kto wtrynie weń owe 200 tysięcy. Zręczny pragmatyk zadecydował więc błyskawicznie: pieniądze pójdą na pożytek współczesności, o czym tak od razu nie należy informować konserwatora, bo chyba by protestował. Wkrótce budowa domu kultury w Józefowie została zatwierdzona przez władze wojewódzkie; dokumentacja już jest.

Tymczasem konserwator pyta listownie przewodniczącego Powiatowego Komitetu Kultury i Sztuki w Biłgoraju, czy przesłane pieniądze zostały odpowiednio wykorzystane. Indagowany powołuje coś w rodzaju komisji, złożonej z członków towarzystwa regionalnego, która pod wodzą doktora nauk humanistycznych i prawnika w jednej osobie udaje się do Józefowa, aby na miejscu stwierdzić, że przewodniczący postąpił właściwie nie usiłując ratować zabytku, jako że ten — zdaniem komisji — do remontu już się nie nadaje. Koniec sprawy.

I początek ogólniejszej refleksji, wśród której przewija się myśl, że za rok, dwa, za trzy lata, kiedy już wszyscy zapomną o szczegółach, a zabytek opadnie w ziemię, jakiś kolejny pan Andrzej Jeleński napisze w warszawskich „Fundamentach", że dewastacji obiektu winien konserwator wojewódzki w Lublinie. Może zresztą wyręczy go w tym dr hab. J. Kowalczyk, pogromca PKZ — styl wypowiedzi mają sjamsko podobny.

Idąc za tematem: w czerwcu trafiłem do Łaszczowa w powiecie Tomaszów Lub., gdzie znajduje się zrujnowany, ale jeszcze pod dachem pałac o dość mieszanej stylistyce, wart przecież zachowania. Trzy rozmowy:

— Nie mamy pieniędzy na remont, niech wreszcie pozwolą rozebrać, jak i synagogę, która grozi zawaleniem — mówi sekretarz PGRN.

— Gdzie macie 72 tysiące złotych, otrzymane w 1964 r. ze środków Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków po złożeniu przez was wniosku i deklaracji przeprowadzenia prac?

— Gont zakupiliśmy.

— Gdzie jest gont?

— Rozkradają. Sami nic nie zrobimy, nie mamy sił i środków.

Gminna Spółdzielnia, młody prezes:

— Kiedyś chcieliśmy remontować pałac, to fakt, chcieliśmy założyć restaurację, ale po dokładnym zbadaniu okazało się, że nie nadaje się na nasze potrzeby.

— Przecież to żarty! Nadaje się.

— Lepiej nowy pawilon postawić...

Biuro Państwowego Gospodarstwa Rybnego, które ewentualnie mogłoby zatroszczyć się, wraz ze Zjednoczeniem, o losy zabytku:

— Z prasy? Nic nie powiem, dyrektora nie ma, nie kazali nic mówić prasie, tu jedna taka była ze „Sztandaru Ludu" i nic z tego dobrego nie wyszło...

„Rozwój kultury będzie się odbywać względnie autonomicznie, na zasadzie wzajemnego oddziaływania zjawisk z jej zakresu — przede wszystkim jednak będzie towarzyszył rozwojowi społecznemu i ekonomicznemu kraju" — w mądry sposób prostą prawdę opisuje socjolog. Stosunek człowieka do kultury nie jest sprawą boskiego zwiastowania, lecz społeczno-materialnych warunków jego życia.

— Dużo tu ludzi przychodzi? — zapytałem niedawno kierowniczkę Gromadzkiego Ośrodka Kultury w Janowie Podlaskim, byłą pracownicę referatu ewidencji ludności PGRN, która nową funkcję piastuje z tytułu długoletniej przynależności do chóru.

— Zależy kiedy. A w ogóle to ludzie u nas nie mają czasu, poza etatem wielu ludzi pracuje na własnych gospodarstwach, sporo dojeżdża do roboty do Białej... Przez siedem lat pięciu już kierowało GOK-iem.

W domu kultury mieści się kino „Wenus", które do niedawna nazywało się „Płomień", budząc tym niesmak Wojewódzkiego Zarządu Kin. Na ścianie holu wisi obrazek czarno-biały z blaskiem, przedstawiający żaglówkę i zamaszysty podpis autora, który na dodatek twierdzi, że to jest wizerunek „Jeziora Gopło". Na piętrze znajduje się Izba Pamiątek: w totalnym bezładzie eksponatów prężą się biusty patriotów wykonane zręczną dłonią pani kioskarki, która w wieku lat sześćdziesięciu otrzymała właśnie zamówienie na wymodelowanie popiersia Pułaskiego, a zamówienie to przyszło z Kanady pachnącej sukcesem. Pionierem Izby był pan magister farmacji, lecz popadłszy w konflikt, oddał zbiory do Liceum Ogólnokształcącego, które z kolei przekazało chudobę do GOK-u. W domu kultury był klub „Ruchu", ale upadł, bo młodzieży szkolnej zabroniono wstępu „ze względu na rozwydrzanie się". Być może młodzież się rozwydrzała, podniecona do szału melodiami z pięciu płyt, jakie posiada placówka wzniesiona z okazji 1000-lecia Państwa Polskiego i 50 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej.

Kultura to cudowny żywioł, sprawdzający wytrzymałość fizyczną i psychiczną człowieka, to teren jego spełnień najgłębiej rysujących się w świadomości, to sprawy w rękawiczkach załatwiane i według wzorców kulturowych, autonomicznych, przekazywane z pokolenia na pokolenie. Byle nie strażacko-ogniowe.

Domagamy się rozwoju kultury, nowych nakładów finansowych na kulturę, nowych klubów kultury, opracowania modelu kultury powiatowej — w świętym przekonaniu jednoznaczności tego pojęcia: i hutnicy, i stolarze, marynarze, dziennikarze, kominiarze i wozacy, Anna Pawełczyńska i Wanda Tomaszewska, Marcin Czerwiński i E. K. Bergel.

Tymczasem poznany w przelocie w powiecie radzyńskim strażak ochotniczy zgrzyta zębami, bo do remizy wiejskiej wepchnięto właśnie klub „Ruchu", zajmując jedyny lokal nadający się na bufet, znakomicie obracający podczas okazjonalnych zabaw. Mniejszy teraz będzie utarg, mniejszy zysk przyniesie zabawa, obecność placówki kulturalnej obniży fundusze na zakup sprzętu przeciwpożarowego i amortyzację budynku, a poza tym trzeba będzie świecić klubowi elektrycznie, co też kosztuje.

„To wszystko tworzy jakiś poważny problem, który do tej chwili jest nie rozwiązany

Chata Sienkiewicza w Woli Okrzejskiej.
Fot. Z. Zugaj

nie tylko w naszym powiecie" — smętnie komentuje sytuację Zespół Komisji Ideologicznej KP PZPR w Radzyniu.

Radzyń: około 10 tysięcy mieszkańców, znajdujących zatrudnienie w Zakładach Mleczarskich, filiach „Gracji" i „Hortexu", w Zakładach Metalowych, Radzyńskim Przedsiębiorstwie Budowlanym, Gminnej Spółdzielni... Dużo młodzieży.

W przypałacowej oranżerii w parku powinien działać Powiatowy Dom Kultury. Bodaj trzy lata temu jego kierownik z dumą pokazywał mi plany remontu konserwatorskiego obiektu: sale, klitki, komnaty, wygodne pracownie — czego tam nie przewidziano! Obecnie dowiedziałem się, że nie przewidziano rzeczy najważniejszej: solidnej roboty. Dokumentacja okazała się niezgodna z wymaganiami konserwatora wojewódzkiego, który słusznie zaprotestował przeciwko jej realizacji. Dopiero w tym roku rozpoczęto roboty — według nowej dokumentacji. Aby zaś było zabawniej, pragnę poinformować, że poprzednią dokumentację wykonano na zlecenie wojewódzkich władz kulturalnych.

Takich opowieści można by przedstawić jeszcze kilkanaście, lecz wydaje się, że dotychczasowe dość skutecznie obalają cytowany na początku pogląd białostockiego aktora, który błądzi nie znając miejsc, gdzie życie rysuje się ostro. Kultura nie jest dziedziną formuł abstrakcyjnych, suwerenną i autonomiczną w stosunku do innych przejawów życia — społecznego i ekonomicznego — a przy tym pełni rolę lustra, w którym odbijają się radości i smutki całej rzeczywistości.

---

istnieć na pustyni, która swoją chudą roślinnością żywiła jedynie owce i wielbłądy. Ale w 1962 roku do Aszchabadu dotarł Kanał Karakumski: wtedy zaczęto oswajać pustynię. W 67 stały już długie

Hałda bawełny w sowchozie im. 9 komisarzy.
Fot. Autor

ciągi domostw, a zmeliorowana ziemia dawała plon. Inwestorem takich przedsięwzięć, na całej długości Kanału, jest przedsiębiorstwo „Karakum-stroj". Ono planuje i tworzy sieć irygacyjną, wznosi domy i zabudowania gospodarcze.

— „Oto klucz do sowchozu!" — powiada pewnego dnia inwestor, a komisyjnie jakość robót i zaczynamy tu żyć — mówi Akmurad Babajew, dyrektor gospodarstwa.

Ten sowchoz pochłonął dotychczas 12 mln rubli inwestycyjnych, a ponieważ rozbudowa trwa dalej — pójdzie na nią do końca bieżącej 5-latki jeszcze 7 milionów.

my ten „klucz" bierzemy, badamy

Co zbudowali?

25 tys. metrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej, szkołę średnią, „dziecięcy kombinat" na 180 miejsc, park maszynowy, garaże, fermę bydlęcą.

Babajew:

— Jest wszystko, czego nam trzeba do życia. A kto chce po pracy do Aszchabadu, ten ma co godzinę autobus. 25 minut jazdy.

Wielkość sowchozu: 4,5 tys. ha ziemi, 3 tys. ha ziemi ornej, 150 traktorów różnych marek, 50 samochodów, 35 kombajnów do zbioru bawełny.

Kogo interesują szczegóły, to: bydła rogatego — sztuk 1300; 4 tys. sztuk pogłowia świńskiego.

Ale kierunek główny — naturalnie bawełna. W zeszłym roku sowchoz sprzedał 6185 ton tego surowca. Sprzedał 670 ton mleka i 250 ton mięsa.

Tylko fachowcy-rolnicy wiedzą, czy to dużo czy mało. Na nas robią wrażenie inne dane: ogólna roczna wartość produkcji — 4,7 mln rubli, czysty dochód sowchozu — 1,7 mln rubli.

— Nasza rentowność wynosi 57 proc. — powiada Babajew i wyjaśnia, żeby nie było nieporozumień: — Każdy włożony w gospodarkę rubel przynosi 157 kopiejek.

Kierunek główny — ta „naturalnie bawełna" — teraz się zmienia. Wyliczyli, co im daje w konkretnych warunkach wyższy dochód. Nastawiają się na mięso i mleko. Budują nowy kompleks obór na 800 krów. Kiedy skończą budować, będą mieli łącznie 3200 krów, a w niedalekiej przyszłości chcą dojść do 6000. Paszę dadzą im w całości te ziemie, którymi dysponują.

Pytamy o niektóre plony. Lucerny zbierają 70 q z ha, kukurydzy — 270 q/ha, bawełny — 27 q/ha (piękny wynik; średnia zbioru dla ZSRR wynosi 25,6 q z ha, a dla Turkmeńskiej SRR — 22,9 q z ha).

Od jednej krowy uzyskują rocznie 2700 litrów mleka — „ale to dopiero początek, z tego rezultatu nie jesteśmy zadowoleni".

Kukurydzą obsadzają 650 ha, lucerną — 700, bawełną — 1300. „Wysoka mechanizacja robót. Całość bawełny zbieramy kombajnami".

— Ilu ludzi pracuje w sowchozie?

— 400. Zarobek roczny w granicach 2900 rubli, ale np. kombajnista zarabia 3250. Jeżeli w rodzinie pracuje kilka osób — przemnóżcie te 2900 przez trzy lub cztery...

— Skąd wzięli ludzi? Jak się odbywał nabór?

— Reklama, towarzysze, reklama. Dało się ogłoszenia do gazet w kilku republikach. Ludzie ściągali, bo przede wszystkim gra rolę dobre mieszkanie o wysokim standardzie, otrzymywane z punktu po przyjeździe. No i oprócz Turkmenów zjechali Rosjanie, Tatarzy, Uzbecy, Ukraińcy. Mamy teraz mieszankę ośmiu narodowości.

Dragisza, Jugosłowianina z naszej dziennikarskiej grupy, interesuje indywidualny majątek pracowników sowchozu. Babajew wyjaśnia, do czego ma prawo rodzina: więc do 1600 m² ziemi (przy czym melioracji i nawożenia dokonuje sowchoz) — wobec czego rodzina ma swoje warzywa, owoce, trochę zbóż; ptactwo domowe bez ograniczeń; jedną krowę z potomstwem lub pięć owiec lub jednego wielbłąda lub jedną maciorę — to może trzymać na swojej działce rodzina.

W sowchozie pracują zwykle 2—3 osoby z każdej rodziny, która przeciętnie liczy tu 6—7 członków. Powierzchnię mieszkalną zajmuje się zależnie od liczebności rodziny — 10—11 m² na osobę. Czynsz miesięczny za mieszkanie w granicach 4—6 rubli.

— Jaki dochód może uzyskać rodzina z własnej działki?

— Około 1000 rubli rocznie.

Jeszcze pytamy o sprawy socjalne. Wiek emerytalny: 60 lat dla mężczyzn, 55 dla kobiet; urlopy, ubezpieczenia — normalnie, jak we wszystkich przedsiębiorstwach państwowych. 1 listopada kończą się główne roboty, jest czas wypoczynku — „wypoczywa się też od upałów, najlepszy okres".

Redaktor Bak z bratysławskiej „Prawdy", wielki spec od rolnictwa, wdaje się z Babajewem w głęboką dysputę o sposobie obliczania zarobków. Ale to już za wiele jak na moje wykształcenie.

Przyglądam się wiszącemu na ścianie sztandarowi: „Zwycięskiemu sowchozowi we wszechzwiązkowym współzawodnictwie socjalistycznym — Rada Ministrów ZSRR i Centralna Rada Związków Zawodowych".

— Piękne zwycięstwo — powiadam. — A konkretnie ten sztandar to za co?

— A konkretnie — śmieje się Babajew — to za pracę.

I proponuje obejrzeć tę nowo budowaną oborę na 800 krów. Co też czynimy, choć od razu po wyjściu z biura Zarządu turkmeński żar chwyta nas w kleszcze.

Tadeusz Strumff

Kamena str. 5

Mała stacja kolejowa...

Dokończenie ze str. 1

Tczewskie, tam dorobił jeszcze kurs dla dyżurnych ruchu i oto pod koniec marca 1937 r. nadeszło z DOKP w Toruniu pod jego adresem pismo, które miało przesądzić o całym dalszym życiu młodego adiunkta kolejowego: „Na podstawie § 36 ust. (1) punkt 1 Rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 1 stycznia 1934 (...) przenosi się Pana z urzędu ze stacji Zajączkowo Tcz. do stacji Kuźnica (Hel) dla p.o. dyżurnego ruchu. — Stanowisko to ma Pan objąć bezzwłocznie po zwolnieniu z dotychczasowych obowiązków i po upływie czasokresu uwolnienia Pana od wykonywania obowiązków służbowych dla uskutecznienia przesiedlenia". Jechał na ową swoją pierwszą w życiu „poważniejszą" placówką ani przypuszczając, że spędzi w Kuźnicy następnych trzydzieści pięć lat życia...

Zawiadowcą stacji był wówczas Alojzy Mateja, kolejarz doświadczony, ale nie posiadający średniego wykształcenia, który wkrótce zaczął czynić starania o przeniesienie do Torunia, bo tam działało gimnazjum dla dorosłych. Po jego wyjeździe Jan Marach awansował na zawiadowcę. Mateja nie miał szczęścia. W marcu 1938 r. wyjechał do Torunia, w następnym roku został wzięty przez Niemców jako zakładnik i rozstrzelany.

Ale wtedy, w 1938, życie toczyło się jeszcze normalnym torem. Nie było zresztą wiele czasu na rozmyślanie o nadciągającej wojnie bo praca na stacji wypełniała dzień od świtu do nocy.

Niewielkie odległości pomiędzy stacjami rozciągniętymi wzdłuż Helu, stały kontakt telefoniczny, powodowały, że okoliczni kolejarze stanowili jakby jedną wielką rodzinę. Wszyscy tutaj się znali, odwiedzali nawzajem, świadczyli sobie różne drobne grzeczności. W Jastarni zawiadowcą stacji był Góra, we Władysławowie Karaska, w Juracie Birna, w Swarzewie Borkman, w Pucku — Opatka. Większość to był element napływowy z głębi kraju, ludzie energiczni, rzutcy, rezydujący tutaj niejako wspólnie na „północnych rubieżach" Rzeczypospolitej.

A jednak z upływem miesięcy w ową atmosferę przyjaznych stosunków pracy zaczynało powoli wkradać się napięcie, powodowane wiadomościami o politycznych wydarzeniach na arenie międzynarodowej. Wiadomości owe przynosiło radio, ale wiele dowiadywano się także od letników — niejeden z nich piastował odpowiedzialne stanowisko w stolicy. Na przykład w okresie letnim w mieszkaniu zawiadowcy stacji stale zamieszkiwał doktór Jokel, lekarz prezydenta Mościckiego. Z nim to często toczyły się dyskusje na temat możliwości wybuchu wojny. Letnie dni 1939 r wypełnione były gwarem tłumów wczasowiczów zalegających pobliskie plaże, pociągi zwożące letników z całej Polski normalnie kursowały, ale nocami przez stacyjkę przetaczały się sekretne transporty kolejowe zmierzające na Hel. Dowódca Rejonu Umocnionego „Hel", kontradmirał Włodzimierz Steyer, ściągał zaopatrzenie dla helskiego garnizonu.

Latem 1939 r. w rejonie Jastarni wznoszono cztery żelazobetonowe bunkry, przecinające jak gdyby w poprzek półwysep. Przy ich budowie pracowało m.in. 500 junaków z obozu w pobliskim Cetniewie, ale pomagała również miejscowa ludność cywilna. Także Jan Marach po pracy wsiadał do pociągu i jechał pod Jastarnię, zamieniając się na kilka godzin w robotnika fizycznego. Bunkry miały wchodzić w skład tzw. głównej pozycji obronnej Helu od strony lądu. A jeszcze wcześniej, w połowie maja, przejechały przez Kuźnicę pociągi nabite żołnierzami Korpusu Ochrony Pogranicza. Znajomi kolejarze ze składów pociągów mówili, że jadą aż z Wołynia, z miejscowości Sienkiewicze. Coraz częściej powietrzny obszar Polski przekraczały patrolowe samoloty niemieckie, dokonujące zdjęć obiektów wojskowych na Cyplu Helskim. Stali mieszkańcy półwyspu szybko zorientowali się, że miejscowa Służba Graniczna zdwoiła patrole, a polskie kutry patrolowe nieprzerwanie krążą wzdłuż brzegów.

W ostatnich dniach sierpnia rozpoczął się masowy odpływ letników. Pociągi były przepełnione, kolejarze dokonywali cudów, aby zorganizować dodatkowe składy. Telefon kolejowy przekazywał wzdłuż wybrzeża wiadomość o rozkazie powszechnej mobilizacji. W dwie godziny później telefony znowu rozdzwoniły się — mobilizacja odwołana.

Jan Marach w przeddzień wojny został sam w mieszkaniu. Żonę wysłał 29 sierpnia do swoich rodziców w Bydgoszczy. Jechała przez Kościerzynę, bo ruch pociągów przez Gdańsk był już wstrzymany. Wczesnym rankiem 1 września wyszedł na peron stacji, aby zaczerpnąć powietrza po całonocnej służbie i wtedy usłyszał dalekie grzmoty zwiastujące wojnę...

•

W kilkanaście minut później załoga stacji kolejowej w Kuźnicy mogła się już n a o c z n i e przekonać o napaści hitlerowskiej na Polskę. Na doskonale widoczny po przeciwnej stronie zatoki Puck nadleciała grupa 18 nieprzyjacielskich samolotów. „Bombardują lotnisko" — powiedział któryś z kolejarzy zgromadzonych na peronie. Równocześnie dały się słyszeć odległe detonacje bomb zrzucanych na Cypel Helski. Straty na Helu były niewielkie, ale w Pucku Niemcom udało się uzyskać pełne zaskoczenie. W ciągu kilkunastu minut tamtejsza baza lotnictwa morskiego uległa całkowitemu zniszczeniu.

Po południu tuż przed godziną czwartą, rozpoczyna się drugi atak lotniczy na Cypel Helski. Bierze w nim udział 36 bombowców „Ju 87 B". Ich celem jest czterodziałowa bateria dział kalibru 152,4 mm, stanowiąca o głównej sile ogniowej Rejonu Umocnionego „Hel". Żadna ze stu zrzuconych wówczas bomb nie osiągnęła celu. W godzinę później w pobliżu Helu wywiązuje się zajadła bitwa powietrzno-morska pomiędzy grupą polskich okrętów, wśród których były kontrtorpedowiec „Wicher", stawiacz min „Gryf", kanonierki „Generał Haller" i „Komendant Piłsudski" — a 33 bombowcami nurkującymi z niemieckiego 1 szkolnego pułku lotniczego. Atak bombowców zostaje odparty i kończy się dla Półwyspu Helskiego pierwszy dzień wojny.

Trzeciego września po raz pierwszy przemówiła helska cyplowa bateria nadbrzeżna. Pociski kalibru 152,4 mm uszkodziły dwa niszczyciele niemieckie — „Leberecht Maass" i „Wolfgang Zenker". Ale już wieczorem Niemcy zrewanżowali się z nawiązką: podczas kolejnego ataku lotniczego zostały zatopione stojące w porcie helskim „Wicher", „Gryf" i kanonierka „Generał Haller".

Stacja kolejowa Kuźnice na pewien czas opustoszała. Zamarł ruch pociągów. Zaraz pierwszego dnia wojny zostały zbombardowane mosty pod Puckiem i w Redzie. Zamilkł na stałe kolejowy telefon od strony lądu. Panował względny spokój. Niemcy chwilowo skupiali ataki na samym cyplu.

Dla kolejarzy rozsianych wzdłuż Półwyspu Helskiego przerwa w kursowaniu pociągów nie oznaczała przerwy w pracy. Przeciwnie: pozostawali w stanie stałego pogotowia. Na półwyspie znajdowały się dwa parowozy oraz pewna ilość wagonów i w każdej chwili mogła powstać konieczność uruchomienia całego 34-kilometrowego odcinka dla celów wojskowych.

Dziesiątego września przywędrował na stację w Kuźnicy maszynista z Władysławowa, Kuchnowski. Był zmęczony długim marszem, zszokowany, opowiadał o walkach, jakie w ciągu ostatnich dwóch dni toczyły u nasady półwyspu polskie oddziały z niemieckim pułkiem Straży Granicznej i 5 pułkiem kawalerii. Szczególnie zacięty bój toczył się 10 września o Wielką Wieś, kilka razy dochodziło do walki na bagnety. Następnego dnia dowiedziano się, że Niemcy są już we Władysławowie, a to oznaczało, że półwysep został odcięty od stałego lądu.

Teraz nastąpił szczególnie gorący okres dla kolejarzy. Oddziały polskie okopały się pod Chałupami, w pobliżu Chałup zakopano pewną ilość głowic od torped, w odpowiednim czasie miały być one wysadzone w powietrze dla stworzenia dodatkowej przeszkody w posuwaniu się nieprzyjaciela. Ruch wojska i sprzętu bojowego na odcinku od Helu do Chałup odbywał się za pośrednictwem taboru kolejowego. Kiedy padła Kępa Oksywska, rozgorzały walki pod Chałupami. Chociaż Kuźnica znajdowała się jak gdyby na drugiej linii frontu, to jednak była bezustannie atakowana przez wrogie samoloty, które kilka razy dziennie ostrzeliwały wieś i stację kolejową z karabinów maszynowych.

23 września zawiadowca Marach znajdował się ze znajomymi w pokoiku na pięterku dworca. Nagle nastąpił potężny wybuch, przez wybite okno wdarły się do pokoju kłęby dymu. Kiedy po chwilowym szoku wyjrzał na ulicę, stwierdził, że ze stojącej po drugiej stronie drogi willi Santa Lucia została tylko kupa gruzów. Tymczasem atak bombowy na Kuźnicę trwał dalej. Miejscowość nie była obsadzona przez polskie wojsko i Niemcy dobrze o tym wiedzieli, ich napad skierowany był więc przeciwko bezbronnej ludności cywilnej. Zburzona została słynna w Kuźnicy willa Morskie Oko, legło w gruzach około trzydziestu domów rybackich. Stacja jakimś cudem ocalała, ale bomby rozerwały tory kolejowe na końcu wsi. W ten sposób łączność kolejowa z pierwszą linią frontu została przerwana.

Po zbombardowaniu torów obecność Jana Maracha w Kuźnicy była już niepotrzebna. Wraz z innymi pracownikami stacji przeniósł się na dworzec w Jastarni i tam, pod bombami, dotrwał do końca września. Ostatni raz wyruszył na trasę w kierunku Helu, ocalałym parowozem, wraz z maszynistą Kuchnowskim, aby przywieźć prowiant z wojskowych magazynów helskich dla głodującej ludności Jastarni. Tym razem nie niepokoiły ich już nieprzyjacielskie samoloty. Był pierwszy października, nastąpiło zawieszenie broni, następnego dnia dotychczasowe polskie pozycje obronne mieli przejmować Niemcy.

Natychmiast po ustaniu działań wojennych Jan Marach wrócił na swoje stanowisko w kuźnickiej stacyjce. Ale zastał już tam „następcę" — niemieckiego kolejarza Martyna.

Nastały teraz dla Polaków z półwyspu ciężkie czasy. Szczególnie dla tych, którzy przybyli tutaj kiedyś „z głębi lądu". Do obozów koncentracyjnych poszli kasjer Pestka, naczelnik poczty w Kuźnicy — Ludwik Kroplewski i robotnik Feliks Wojtaszewski. Byłemu zawiadowcy udało się pozostać przez pewien czas na wolności, lecz wkrótce i on miał przejść całą okupacyjną poniewierkę. Zadenunejowany jako uczestnik ruchu oporu, cudem tylko uniknął rozstrzelania na słynnym cmentarzu w Piaśnicy. Oddany pod stały nadzór policyjny, przepracował pięć lat okupacji na małych stacyjkach dzisiejszego gdańskiego węzła kolejowego, balansując cały czas pomiędzy statusem pracownika umysłowego a prostego robotnika fizycznego.

Zaraz po zakończeniu wojny zgłosił się do nowoutworzonego DOKP Gdańsk. Zaproponowano mu objęcie stanowiska zawiadowcy stacji w Jastarni, co stanowiło poważny awans, ale Jan Marach poprosił o Kuźnicę. Zżył się już z tą niewielką stacyjką kolejową. Tutaj rozpoczynał najpiękniejszy okres swojego życia i tutaj przyszło mu przeżyć dni najbardziej burzliwe. Dostał właśnie wiadomość, że żona wraz z kilkuletnią córeczką internowane w Niemczech wracają wkrótce do kraju i chciał powitać ją na peronie kuźnickiej stacji jak kiedyś, przed laty. Jakby się nic nie zmieniło.

Schludna niegdyś stacyjka, w której zagospodarowanie włożyli z żoną tyle serca, była zupełnie zdewastowana. Ale na powitanie zawiadowcy wyszli z dyżurki stary zwrotniczy Długi i przedwojenny dyżurny ruchu, Benedykt Kos. A w kilka dni po otwarciu stacji zgłosił się do pracy kasjer Pestka.

Już nie podnosi okrągłej tarczy zwiastującej odjazd pociągu, już nie spaceruje w czerwonej czapce po peronie dworca. Jan Marach odłożył obydwa te insygnia kolejarskiej władzy do domowego lamusa. W tym roku przeszedł na emeryturę. Ale jak dawniej pory dnia wyznacza mu łoskot przejeżdżających pociągów. Nadal mieszka na pięterku stacji, której jedne okna wychodzą na zatokę, a przeciwne — na pełne morze.

Mirosław Derecki

Lubliniacy na wojnie

Dokończenie ze str. 1

Mój frontowy przyjaciel, niezwykle rzetelny badacz, pułkownik dyplomowany i doktor historii (przez wiele lat służący w Lublinie, a za żonę mający także — lubliniankę), Wacław Jurgielewicz, wydał przed paru laty pracę „Organizacja Ludowego Wojska Polskiego". Można z niej dowiedzieć się, że wyzwolony skrawek Polski — to znaczy: całe województwo lubelskie oraz większość obecnego województwa białostockiego (bez Augustowa, Suwałk, Ełku, Olecka, Gołdapi), mniej niż połowa obecnego województwa warszawskiego (część leżąca po prawej stronie Wisły) oraz nowoutworzone, wówczas ledwie raczkujące, województwo rzeszowskie — dostarczył, w okresie od 15 sierpnia do 31 grudnia 1944 roku 110 tysięcy młodych ludzi w szeregi tworzonego i rozbudowywanego Wojska Polskiego.

Mniej więcej co trzeci poborowy pochodził z Lubelszczyzny. Łacno do tego wniosku dojść, gdy uważnie czyta się wspomnianą pracę mego frontowego przyjaciela. Znacznie wcześniej podał on bowiem, że poszczególne Rejonowe Komendy Uzupełnień zarejestrowały łącznie 135 tysięcy kandydatów na poborowych. Z tego 41 800 osób przypadało na RKU: Lublin miasto, Lublin — powiat, Kraśnik, Chełm, Zamość.

Podejrzewam wszakże, że tarnobrzeska RKU mobilizowała także lubliniaków z biłgorajskiego, a pewny jestem, że siedlecka — z łukowskiego i bialskiego. Czyli na pewno co trzeci poborowy (jeśli nie więcej) z jesieni roku 1944 miał lubelski rodowód. Skromnie więc licząc, z tych 110 tysięcy zmobilizowanych — 36—37 tysięcy żołnierzy pochodziło z Lubelszczyzny. Tych, którzy poszli na front w ostatnich miesiącach wojny, w trybie poboru.

I tu, jak się mawia w szkole, chcę właśnie zagiąć mego przyjaciela, płk. Wacława Jurgielewicza. Policzyłeś, Wacku, poborowych od 15 sierpnia 1944 roku. A co zrobisz z nami, którzy w trybie ochotniczym przyszliśmy nie do RKU (bo ich jeszcze nie było), lecz do Komisji Werbunkowych, między 1 a 14 sierpnia? Z tymi, którzy dość dokładnie zapełnili baraki na Majdanku w rezultacie czego nawet nie bardzo wiedziano, co zrobić z tą ciżbą? Był taki dzień, kiedy 3 zapasowy pułk piechoty, skupiający nas, ochotników, liczył bodajże 9 tysięcy żołnierzy (zamiast etatowych 2,5—3 tysięcy). I to wszystko — chłopaki z Lublina i Lubelszczyzny. Skreślisz nas z ewidencji? Ba, cały batalion — 540 chłopa — dotarł któregoś dnia do 3 dywizji na przyczółek warecko-magnuszewski właśnie z tych ochotników złożony. I do 2 dywizji — też. I do pierwszej. I do szkół oficerskich. I do zalążków nowych dywizji 2 armii.

Słowem, na moje matematyczno-przyrodnicze wykształcenie, było nas — lubliniaków, w tym lipcowo-grudniowym okresie, którzy przyodziali drelichowe mundury — co najmniej 40 tysięcy. Może 45 tysięcy. Nie spierajmy się, boć wśród ochotników nie brakowało chłopców „z wysiedlenia" — z poznańskiego czy bydgoskiego, którzy wprawdzie pięć wojennych lat spędzili na ziemi lubelskiej (ot — sołtys Kierdziołek, Jerzy Ofierski), ale w metryce mieli wpisane inne miejsce urodzenia.

Tedy spróbujmy ustalić, co to znaczyło 40 tysięcy żołnierzy w owym wojennym czasie.

Ano, w samej końcówce wojny niektóre najbitniejsze armie radzieckie — dziewięć dywizji piechoty, liczne jednostki wsparcia — szturmujące Berlin nawet i tych 40 tysięcy nie miały. Zadania wszakże otrzymywały jak dla stustu pięćdziesięciotysięcznej armii.

Wracajmy więc do porównań precyzyjniejszych, niemal idealnych.

1 dywizja piechoty imienia Tadeusza Kościuszki, tworzona w Związku Radzieckim na najbogatszym, bo gwardyjskim etacie, liczyła — w zaokrągleniu — 11,5 tysięcy żołnierzy. W tym składzie (plus 1 pułk czołgów, ponad 550 żołnierzy) walczyła pod Lenino.

Potem powstawał 1 Korpus Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR. Doszły 2 i 3 dywizje piechoty. No, jeszcze brygady artyleryjskie, pułk lotniczy, brygada pancerna. Tradycyjnie nazywano taki związek korpusem piechoty, po wojnie przyjęto terminologię — korpus ogólnowojskowy. Albo jeszcze inaczej — związek operacyjny, zdolny do wykonywania dużych, samodzielnych zadań w natarciu i obronie.

I żeby była pełna jasność — tuż przed przekształceniem 1 Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR (marzec 1944) w 1 armię liczył on... 37 243 żołnierzy. Powtarzam: to były trzy dywizje piechoty plus samodzielne brygady i pułki.

A ilu poszło lubliniaków — latem i jesienią 1944 — na wojnę? Zgodziliśmy się na ostrożny szacunek rzędu 40 tysięcy!

Był więc — choć nie nazwany — lubelski korpus Wojska Polskiego, dobijający hitleryzm nad Odrą, Nysą, w Berlinie, Budziszynie, Mielniku i nad Łabą.

To prawda, byliśmy rozproszeni po wszystkich dywizjach i brygadach oraz pułkach 1 armii. Bo już w 2 armii, formowanej na Lubelszczyźnie i w Rzeszowskiem — udział lubliniaków był procentowo wysoki. Podobnie, jak udział strat za Nysą. Gdzieś pod Horką, Budziszynem, Dreznem, Niesky, Kamenz, Rietschen i dziesiątkami wsi i miast serbo-łużyckich.

Proszę mi wobec tego pokazać, które jeszcze województwo w ówczas narodzin Polski Ludowej wystawiło swój ogólnowojskowy korpus?

No i nie ma co kryć — za wcześnie sumitowałem się ze swoich lubelskich kompleksów. Nie ma powodu do nadmiernej skromności. Odwrotnie, jest powód do dumy.

Niepodobna, oczywiście, prześledzić losów 40 tysięcy ludzi. I jeszcze tych, którzy mając lubelskie pochodzenie, walczyli pod Lenino czy nad Bugiem, a więc trafili w szeregi ludowej armii przed wyzwoleniem Lubelszczyzny.

KILKA SYLWETEK

Spotykam na swych dziennikarskich i pisarskich ścieżkach wielu lubliniaków, którzy wtedy poszli do wojska. Józka Kijowskiego, starszego ode mnie o cztery lata, z którym razem trafiliśmy do 3 dywizji i razem — do aparatu politycznego. Dzisiaj jest doktorem nauk ekonomicznych, posłem na Sejm i prezesem WK ZSL w Olsztynie.

Sławka Litwińskiego, z którym razem w AK-owskiej konspiracji pobieraliśmy nauki jak brać — z rąk niemieckich — miasta, dzielnice i poszczególne domy. Mnie na przykład ta edukacja przydała się w czasie walk o Kołobrzeg. Sławek skończył w Lublinie Oficerską Szkołę Piechoty, trafił już nie do frontowej dywizji. Po wojnie — absolwent prawa i sędzia w Krasnymstawie, od pewnego czasu — także w Warszawie.

Gienek Szyndler — tomaszowsko-zamojski rodak — deptał mi w pułku po piętach. I z tego samego rocznika i z tego samego regionu i w tych samych pododdziałach, co ja. Odchodziłem ze zwiadu — Gienek obejmował moje stanowisko. Odchodziłem z kompanii fizylierów — zdawałem „gospodarstwo" Gienkowi.

Potem, za Odrą, wystawiono chorążego Szyndlera na największą życiową próbę. Osiem kul w ciele. Uznany za poległego. Jest — według mnie — bez przesady polskim Meresjewem. Pokonał rany, słabość i inwalidztwo. Wicedyrektor w zjednoczeniu przemysłu samochodowego. Przyjeżdża do lubelskiej FSC. Tu łapie go zawał serca...

Albo Staszek Kędra, rolnik z Bystrzejowic. Zwiadowca i fizylier, sprytny i po chłopsku filozoficzny. Odważny i nie szarżujący głupio. Powiada, że nigdy się nie bał. W to nie wierzę. Ale wiem, że jak był kiedyś dobrym żołnierzem tak dziś jest dobrym rolnikiem.

A Jan Pendrak, znakomity konny zwiadowca z 1 dywizji, w hrubieszowskiem urodzony i tu dziś — w Ubrodowicach — gospodarujący.

A...

Setki, tysiące ich znajdę. We Włodawie, gdzie formowała się 2 brygada inżynieryjno-saperska (trafiło do niej 1 300 włodawskich chłopców) i w puławskiem. W Kraśniku, Janowie, Bełżycach, na okrainach wielkiego Lublina.

Ci z lubelskiego — nie nazwanego tak — korpusu Wojska Polskiego, którzy mieli łut szczęścia i wynieśli z najcięższych wojennych prób całą głowę.

Aż mi przykro i żal, że nie mogę wymienić tysiąca, pięciu tysięcy nazwisk ludzi skromnych, czasem zapomnianych, co wtedy walczyli.

Iluż jednak lubliniaków — ochotników i poborowych — ustało bitewne pola od Lenino po Linum i Braedikow, tuż nad Łabą? Które z nazwisk są znane, a które zapomniane?

Spróbuję dokonać — choćby cząstkowej — ich prezentacji. Jednak — już w następnym numerze.

Alojzy Sroga

Kamena str. 6

Przodkowie Jana Zamoyskiego

Adam Andrzej Witusik

Jako pamiątka ludzka nadalej zachodzi,
Zawsze w Domu Zamoyskim wielki człek się rodzi.
Gdzie starożytność więtsza? Gdzie gęstsze tytuły?
Gdzie z pierwszymi prawie zaraz kościołem infuły?
Oni prawa pisali, oni do wolności
Drogę naprzód przetarli, oni stateczności
Panom dotrzymywali; i to, co radzimy
W kupie o sobie, onym przypisać musimy.
Gdzie rycerz odważniejszy, lubo przyszło krwawą
Szablą poczynać, lubo ważniejszą buławą?

— pisał panegirycznie o rodzinie Zamoyskich poeta Szymon Szymonowic.

Nie ma chyba potrzeby wdawać się w zawiłe rozważania genealogiczno-heraldyczne rodu Jelitczyków-Zamoyskich, sięgającego czasów Aleksandra Macedońskiego czy legendarnego Popiela, jak to dość często czyniono w szlacheckich i magnackich genealogiach. Wystarczą zupełnie wiadomości od połowy XV wieku, kiedy jeden z Jelitczyków, Tomasz z Łaźnina, protoplasta rodu Zamoyskich, migrował ze staropolskiego województwa łęczyckiego do ziemi chełmskiej.

Tomasz z Łaźnina, protoplasta rodu Zamoyskich. (Drzeworyt z dzieła Jana Zamoyskiego „Stemma Samosciorum", Samoscii 1609).

Powstanie w 1385 r. monarchii jagiellońskiej zlikwidowało peryferyjne położenie ziemi chełmskiej, stwarzając jej pomyślne warunki rozwojowe. Na obszary te popłynęła szeroką falą szlachta z Małopolski, Wielkopolski i Mazowsza, słusznie sądząc, że tutaj łatwiej można będzie dorobić się majątku. Jednym z tych, którzy przybyli na te tereny, był właśnie Tomasz z Łaźnina.

Należał on do średniozamożnej szlachty. Około 1443 r. nabył w ziemi chełmskiej, od Andrzeja Piwo z Opolska, dwie wsie: Wierzbę i Zamość. Przesiedliwszy się do Zamościa, osiadł tu na dobre. Odtąd wieś Zamość miała stać się rodowym gniazdem Zamoyskich. Z czasem, kiedy kanclerz i hetman wielki koronny, Jan Zamoyski, założył w 1580 r. miasto Zamość, wieś ta została nazwana Starym Zamościem.

Stanisław Zamoyski, ojciec Jana. (Drzeworyt z dzieła Jana Zamoyskiego „Stemma Samosciorum", Samoscii 1609)

Tomasz z Łaźnina miał dwóch synów: Floriana i Macieja. Florian, pradziadek kanclerza, był wójtem w Chomęciskach, Krasnem i Piaskach, zajmował się gospodarką oraz wychowywaniem swoich dzieci. Maciej zaś poświęcił się karierze wojskowej i dosłużył się stopnia rotmistrza; służył on przez jakiś czas w wojsku króla węgierskiego Macieja Korwina, a po powrocie do Polski brał udział między innymi w walkach z Tatarami. I Florian i Maciej nie używali już nazwiska Łaźnińskich, lecz pisali się Zamoyskimi.

Wieś Zamość odziedziczyli synowie Floriana: Mikołaj (1472—1532) i Feliks (?—1535). Mikołaj poświęcił się stanowi duchownemu i zrobił tutaj karierę. Był między innymi sekretarzem królewskim, referendarzem dworu królewskiego, kanonikiem krakowskim, scholastykiem łęczyckim, proboszczem gorajskim i wojnickim. Przeznaczenie Mikołaja do stanu duchownego było, zdaje się, wyrazem ambicji rodziny z jednej strony, a ograniczonych jej możliwości z drugiej. W rodzinach szlacheckich bardzo często przeznaczano jednego z synów do stanu duchownego, licząc na kumulowanie w przyszłości dochodów własnych i kościelnych.

Mikołaj Zamoyski należał do protegowanych królowej Bony. Przyjaźnił się z ludźmi z obozu arcybiskupa gnieźnieńskiego, Jana Łaskiego, z Tęczyńskimi i Janem Tarnowskim. Był człowiekiem zdolnym, wykształconym, o szerokich horyzontach myślowych. To właśnie on był redaktorem prawa procesowego, „formula processus", wprowadzającego między innymi apelację do polskiego przewodu sądowego.

Kariera Mikołaja nie pozostawała bez wpływu na pozycję ekonomiczną, społeczną i polityczną jego brata. Między innymi w 1527 r. Mikołaj darował Feliksowi wieś Kulików, którą ten w 1533 r. sprzedał za 1000 zł Stanisławowi Kmicie, dziedzicowi Szczebrzeszyna. Feliks brał żywy udział w życiu politycznym. Zaufanie i popularność zjednał sobie u szlachty, piastując jeden po drugim urzędy ziemskie: wojskiego bełskiego, łowczego chełmskiego, wojskiego chełmskiego, poborcy bełskiego i chełmskiego, sędziego ziemskiego chełmskiego, wreszcie podkomorzego chełmskiego. Obrotni, gospodarni, zapobiegliwi bracia powiększali więc swe majętności. W 1517 r. nabyli od Jana Ostrowskiego wieś Skokówkę z zamkiem. Niestety, nie możemy prawie nic powiedzieć o wielkości i walorach obronnych tego zamku. Należy przypuszczać, że był to raczej skromny zameczek bez większego znaczenia obronnego. Feliks, dziadek Jana Zamoyskiego, pisał się już „panem na Skokówce", co upodabniało go do wielmożów, używających tytułu „panów" na swych rodowych majętnościach.

Feliks Zamoyski miał trzech synów: Mikołaja, Floriana (?—1591) i Stanisława (1519—1572). Mikołaj zmarł w młodym wieku. Florian od 1582 r. piastował urząd chorążego chełmskiego. Stanisław — to ojciec Jana Zamoyskiego. Z wszystkiego, co o nim wiemy, wynika, że musiała to być postać bardzo ciekawa. Majątek, jaki odziedziczył Stanisław po ojcu, był dość znaczny. Składały się nań: Skokówka z zamkiem, wieś Zdanów, Kalinowice, połowa wsi Pniowa, Tworyczów i Lętownia. Pisał się również, jak ojciec, „panem na Skokówce".

Stanisław Zamoyski przejął się, jak większość szlachty chełmskiej tego okresu, ruchem reformacyjnym i stał się żarliwym wyznawcą kalwinizmu. Kościół katolicki w rodzinnym gnieździe Zamoyskich, wsi Zamość, zamienił na zbór kalwiński; w kalwinizmie wychowywał również swoje dzieci. Czego Stanisław Zamoyski szukał w nowej wierze? Realizacji dążeń ekonomiczno-społecznych? Nowych idei? Prawdopodobnie, tak jak i inni, jednego i drugiego. Zagarnięcie dziesięcin kościelnych z własnego folwarku, które przedtem musiał oddawać Kościołowi, oraz pociągnięcie Kościoła do świadczeń na rzecz państwa, odegrało tu na pewno niebagatelną rolę. Wydaje się, że obok spraw ekonomiczno-społecznych motywy intelektualne, szukanie nowych idei, nowych koncepcji teologiczno-dogmatycznych i liturgicznych, odgrywały również ważną rolę.

Stanisław Zamoyski był przede wszystkim żołnierzem. Odznaczył się w licznych walkach z Moskwą, Tatarami i Wołoszą. *Mąż cnotliwy i waleczny, trzydzieści pięć lat w obozach przepędził* — pisał o nim biskup krakowski Filip Padniewski. Zygmunt August, doceniając jego zasługi i zdolności, obdarzył go starostwem bełskim i zamechskim, mianował hetmanem nadwornym, wyniósł wreszcie na godność senatorską, ofiarując mu kasztelanię chełmską. Tak więc Stanisław Zamoyski przez służbę wojskową stał się jednym z ważniejszych dostojników w państwie.

Według Mikołaja Reja, który osobiście znał Stanisława Zamoyskiego, był to szlachcic „domowego ćwiczenia", ale zdolny, szczwany, odważny, wymowny, na wszystko znajdujący „słuszną odpowiedź". Ożeniony z Anną Herburtówną (primo voto Lipską), córką Jana „junior" z Fulsztyna, miał z nią dwóch synów: Feliksa, który zmarł mając 19 lat, i Jana, późniejszego kanclerza i hetmana wielkiego koronnego, oraz dwie córki: Zofię, zmarłą w dzieciństwie, i Annę, która wyszła za mąż za Łukasza Oleśnickiego. Z drugiego małżeństwa z Anną Orzechowską herbu Rogala pozostały przy życiu jedynie dwie córki: Elżbieta i Zofia, z których pierwsza wyszła za mąż za wojewodę bełskiego Stanisława Włodka, a druga za podczaszego koronnego Łukasza Działyńskiego.

W drugiej połowie XVI wieku dokonał się fakt niezmiernie ważny dla dziejów Rzeczypospolitej. Była nim unia lubelska 1569 r. — akt prawno-polityczny, opierający na nowych podstawach już blisko dwuwiekowy związek Polski z Wielkim Księstwem Litewskim. Unia lubelska wiele zmieniała; przede wszystkim przyłączono do Korony ziemie ukraińskie oraz zniesiono istniejące dotąd ograniczenia w zakresie nabywania własności ziemskiej i piastowania dygnitarstw państwowych przez szlachtę Korony na Litwie, a przez szlachtę litewską w Koronie. Przed możnowładztwem i szlachtą otwarła się możliwość budowania latyfundiów, własnych potęg rodowych, magnackich „państw" na wschodzie. Jednym z tych, którzy w maksymalny sposób wykorzystali tę sytuację, był syn Stanisława Zamoyskiego — Jan, założyciel Ordynacji Zamoyskiej.

Dawniej możnowładztwo nie stanowiło w Koronie warstwy stabilnej, grupy rodzin czy rodów, które swą ekonomiczną i polityczną potęgę przekazywałyby z pokolenia na pokolenie. Jedne rody pięły się w górę, inne podupadały. Istniał ciągły ruch, bezustanna fluktuacja. Sytuacja zmieniła się po unii lubelskiej. Pod koniec XVI wieku kształtuje się w Koronie warstwa magnacka, rekrutująca się bądź ze starego możnowładztwa rodowego, głównie jednak ze średniej szlachty. Ta warstwa magnacka okazała się już trwalsza. Wespół z magnaterią litewsko-ruską dotrwała w swym podstawowym trzonie aż do XX wieku.

Droga awansu społecznego tych uprzednio średnioszlacheckich rodzin bywała dość różna, lecz charakterystyczną jej cechę stanowiło połączenie elementów zwiększania się majątku i kariery politycznej. Aktywna działalność gospodarcza średniozamożnego szlachcica (nawet kilka najlepiej zagospodarowanych wsi z folwarkami) nie mogła wynieść go do rzędu magnata. By dźwignąć się do pozycji magnackiej, należało uzyskać wysokie urzędy i wysokie dochody, przede wszystkim pochodzące z dóbr królewskich, ze starostw. Istniała jak gdyby łączność między wysokim urzędem i posiadaniem licznych a bogatych starostw. Im wyższy piastowało się urząd, im bliżej było się króla, tym więcej potrafiło się skumulować starostw. Przyglądając się karierze tych, którzy zapoczątkowali potęgę swej rodziny, widzimy dwie zasadnicze drogi: pierwsza — dwór królewski, zwłaszcza urząd sekretarza królewskiego i druga — służba wojskowa. Tak było na przykład w wypadku Leszczyńskich, Zebrzydowskich, Myszkowskich, Potockich, tak też było w wypadku Zamoyskich.

Stanisław Zamoyski niewątpliwie marzył o karierze politycznej Jana. Pierwszym krokiem na tej drodze było zapewnienie mu wykształcenia, drugim — konieczność nawiązania kontaktów z dworem królewskim. Dla Stanisława Zamoyskiego, biorącego czynny udział w życiu publicznym, wszystko to nie było zadaniem zbyt trudnym.

Kariera, jaką zrobił Jan Zamoyski, była rzeczywiście zawrotna. Z sekretarza królewskiego stał się „wicekrólem" Rzeczypospolitej, ze średniozamożnego szlachcica — posiadaczem jednej z największych fortun. Podwaliny pod tę karierę położył jego ojciec. Nie ulega wątpliwości, że bez stołka senatorskiego Stanisława Zamoyskiego, bez jego majątku, koligacji i wpływów, słowem — bez jego pozycji, kariera Jana byłaby jeśli nie inna, to na pewno o wiele trudniejsza. W chwili, kiedy Jan wyruszył na „podbój" Rzeczypospolitej, nazwisko Zamoyskich było już znane, cenione i szanowane tak przez szlachtę, jak i na dworze królewskim.

Rys. Jerzy Trutkowski.

60-lecie urodzin Maksyma Tanka

Maksym Tank, wybitny poeta białoruski, obchodzi 60-lecie urodzin. „Kamena" już niejednokrotnie, jeszcze w okresie przedwojennym, drukowała przekłady jego wierszy. Dziś przypominamy utwór M. Tanka pt. „Śledzie z wierszami" w tłumaczeniu Kazimierza Andrzeja Jaworskiego.

Śledzie z wierszami

A niech się tam ludzie głowią,
Gdzie i komu wznieść pomnik brązowy.
Ja bo nie jestem już taki naiwny,
By myśleć,
Że me wiersze,
Szorstkie jak dłonie robotnika,
Surowe jak sumienie,
Na skrzyżowaniu
Wiatrów i dróg
Zrodzone,
Były coś więcej warte
Niźli łyk jakiś mały
Wody.

Cieszę się nawet z tego,
Że sprzedawczyni
Dziś w moje wiersze
Zawinęła śledzie.
I nawet mnie korci,
By spytać przechodniów:
Czyście już kosztowali
Śledzi
Z wierszami?

Michał Tracz

Sen

w starym tangu drzemie sala
oczy ręce usta twarz
przytuleni wiązką światła
wciąż szukamy dawnych gwiazd

w mrocznym rytmie zapomnienia
po omacku błądząc twarzą
rozpaczliwie wołasz trzymaj mnie

między nami cień wyrastał
ołtarz zimnych pustych dni
gasły jasne lustra hal
śpiew w firankach nagle ścichł

byłaś zawsze wierna szeptom
kluczem w zamku ludzkich serc
wieńcem kwiatów co na twarzy
płaczem brzozy nagle zgasł

i choć echo gaśnie w lampach
kroków odgłos nadal trwa
prostą drogą podążamy
kochankowie błędnych gwiazd

Cyprian Czernik

Światła

To światełko to lampka oliwna,
a tamto elektryczna lampa
– jedno jest nikłe
– drugie sztampa.

Jeszcze świecą nagie miecze
unurzane po rękojeść w zbrodniach.
Jeszcze tlą się popioły człowiecze
w krematoriach – tych żywych pochodniach.

Skazani na twórczość

Jadwiga Mizińska

Oddał się cały mocy, która wydawała mu się najwznioślejszą na ziemi, której służyć czuł się powołanym i która obiecywała mu wielkość i zaszczyty; oddał się mocy ducha i słowa, królującej z uśmiechem nad bezwiednym i niemym życiem. Oddał się jej z młodzieńczą namiętnością, ona zaś nagrodziła go wszystkim, co ma do darowania i zabrała mu wszystko, co zwykła zabierać jako odpłatę.

Tomasz Mann — „Tonio Kröger".

Z LEKTURY biografii najsłynniejszych twórców sztuki i nauki zostaje zazwyczaj w naszej pamięci wizerunek godnych zazdrości, utalentowanych wybrańców losu, którzy „lekkim krokiem" wkraczają na zawsze do historii kultury ludzkiej urzeczeni blaskiem sławy, nierzadko zapominamy o „odpłacie", jaką musi złożyć twórca w zamian za przyszłe — nie zawsze przecież pewne — triumfy. Głęboką analizę wewnętrznego rozdarcia artysty, który aby móc opisywać potoczne życie, musi zrezygnować z jego przyjemności, zawiera znane opowiadanie Tomasza Manna „Tonio Kröger".

Obecnie, gdy w związku z przemianami wywołanymi przez rewolucję naukowo-techniczną coraz więcej ludzi włączonych zostaje do wielkiego „wyścigu myślenia", częściej zaczyna się mówić o społecznym zapotrzebowaniu na twórczość. Piękny ideał homo creator, stawiany dzisiaj przed systemem wychowawczym, ma — jak się wydaje — co najmniej dwa wyraźne źródła. Z jednej strony oczekuje się od jednostki pełnego inicjatywy, przedsiębiorczości i pomysłowości stosunku do własnej pracy zawodowej, z drugiej zaś, szukając rozwiązania narastającego problemu wolnego czasu, upatruje się je również w rozwijających osobowość różnych przejawach twórczości. Można by powiedzieć, że twórczość, ten najwyższy przywilej arystokracji ducha, w perspektywie musi ulec upowszechnieniu, demokratyzacji. Oczywiście, nie sposób sobie wyobrazić, żeby wszyscy zostali od razu uczonymi, wynalazcami czy artystami na miarę Kopernika. Jednakże, jak twierdzą psychologowie i pedagodzy, zdolności twórcze dają się stopniować, a naturalne predyspozycje do twórczości posiada każdy normalnie rozwinięty człowiek. Inna sprawa, że nie rozwijane i nie podsycane od dzieciństwa mogą one rzeczywiście z czasem zanikać.

Badania nad stymulacją zdolności do twórczego myślenia u młodzieży i dorosłych zajmują coraz więcej miejsca we współczesnej psychologii amerykańskiej i radzieckiej. Stwarza to nadzieję, że utopijny na razie obraz społeczeństwa, złożonego w większości z jednostek twórczych, może z czasem stać się rzeczywistością.

W obliczu tej pociągającej perspektywy warto — być może na zapas — uprzytomnić sobie także ciemniejsze strony twórczości, aby wybór takiego właśnie stylu życia mógł być wyborem świadomym i odpowiedzialnym.

Pesymistycznego, czy wręcz tragicznego spojrzenia na twórczość dostarcza już filozofia egzystencjalna. Właściwą człowiekowi sytuację nieustannego wyboru (a czymże jest twórczość, jeśli nie sumą wyborów) przedstawiciele tego kierunku uważają za tragedię człowieka, za przekleństwo jego życia. Człowiek ciągle się staje, ciągle siebie stwarza, nie mając zresztą żadnych wzorców ani nawet kryteriów wartości. W tym ciężkim wysiłku wszyscy jesteśmy osamotnieni i skazani wyłącznie na siebie.

Do podobnych wniosków dochodzi w swym artykule pt. „Proces twórczy w aspekcie ewolucji" współczesny radziecki przyrodnik, B. M. Rumin („Problemy" 1972, nr 4). Na obecnym etapie ewolucji przyrody — twierdzi on — jesteśmy po prostu skazani na twórczość, o ile pragniemy uniknąć zagłady. W procesie „ślepej twórczości" natura wytworzyła człowieka, wyposażając go w zdolność do kreacji. Odtąd twórczość stała się losem ludzkim, niezależnie zresztą od jego woli.

Jakkolwiek takie skrajnie deterministyczne stanowisko w tej sprawie może wzbudzić odruch sprzeciwu, jego niewątpliwą zasługą jest zwrócenie uwagi na cierpienia i niewygody związane z twórczością, a tym samym podniesienie godności człowieka i jego dzieła powstającego wśród „udręki i ekstazy".

Mimo złagodzenia egzystencjalistycznej wizji, niebezpieczeństwa związane z tworzeniem pozostają faktem i warto uświadomić sobie przynajmniej niektóre z nich.

Jedną z zasadzek czyhających na twórcę jest jego własna wyobraźnia, która zaczyna domagać się od „właściciela" ciągle nowego pokarmu. Dotyczy to głównie artystów, ludzi sztuki, traktujących zazwyczaj zarówno otaczające ich zjawiska jak też osobiste, czasem najintymniejsze przeżycia, wyłącznie jako materiał do przyszłych utworów. Ten swoisty utylitaryzm jest w stanie odebrać człowiekowi jego przyrodzoną zdolność do przeżywania bodźców płynących ze świata w sposób świeży i bezinteresowny. Prowadzi to do rozdarcia między autentycznym wzruszeniem a silną potrzebą wypowiedzenia go i utrwalenia. Taką sytuację doskonale ilustruje wyznanie Tuwima zawarte w wierszu „Sitowie":

Nie wiedziałem wtedy, że te zioła
Będą w wierszu słowami po latach
I że kwiaty z daleka po imieniu przywołam
Zamiast leżeć zwyczajnie nad wodą, na kwiatach.

Nie wiedziałem, że się będę tak męczyć,
Słów szukając dla żywego świata,
Nie wiedziałem, że gdy się tak nad wodą klęczy,
To potem trzeba cierpieć długie lata.

Czy to już tak zawsze ze wszystkiego
Będę słowa wyrywał z rozpaczy,
I sitowia, sitowia zwyczajnego
Nikdy już zwyczajnie nie zobaczę?

Inne niebezpieczeństwo, na które naraża twórczość w którejkolwiek dziedzinie, to subiektywne poczucie wiecznego niezadowolenia i niedosytu. Można przytoczyć aż nadto przykładów genialnych artystów bez końca cyzelujących swoje dzieła w poczuciu niemożności osiągnięcia zamierzonego ideału. W ciągłej walce z opornym tworzywem słowa i myśli nie ma prawie miejsca na spokój i harmonię psychiczną. *Jestem wściekły i nie wiem, dlaczego* — pisał Flaubert w czasie pracy nad „Madame Bovary" — *Może to moja powieść jest przyczyną? Nie idzie, nie ruszа się, jestem bardziej wyczerpany, niż gdybym góry przewracał. Chwilami chce mi się płakać. Trzeba woli nadludzkiej, a ja jestem tylko człowiekiem [...] Głowa mi krąży z nudy, niechęci i zmęczenia* — czytamy dalej. — *Przesiedziałem cztery godziny, a nie mogłem złożyć jednego zdania. Nie napisałem dziś ani jednej linijki, albo raczej nabazgrałem całą setkę. Co za okropna praca. Co za nuda! O sztuko! Sztuko! Czymże jest wściekła chimera, która wyżera nam serce i dlaczego? To szaleństwo zadawać sobie tyle bólu.*

To może ów słynny „niepokój twórczy" spowodował, że swego czasu Lombroso w swej popularnej książce „Geniusz i obłąkanie" próbował utożsamić momenty największego twórczego napięcia z szaleństwem. Teoria ta, jakkolwiek wkrótce odrzucona, zwróciła jednak uwagę psychologów na odbieganie osobowości wielkich uczonych i artystów od przeciętnej normy. Ta „inność" wywołuje nierzadko brak poczucia bezpieczeństwa, związanego z łamaniem kanonów potocznego myślenia lub działania. Łączy się z tym izolacja twórcy i jego — jakże częsta — samotność wśród tłumu. Począwszy od Heraklita, poprzez Norwida i van Gogha wymieniać można setki artystów, uczonych i wynalazców, którzy wyprzedzając swoją epokę nie potrafili znaleźć zrozumienia czy bodaj oddźwięku u współczesnych.

To poczucie odrębności a zarazem samotności doskonale opisuje Tonio Kröger, bohater (i chyba wielenie autora) już cytowanego opowiadania T. Manna: *Człowiek zaczyna czuć się napiętnowanym, w zagadkowej sprzeczności z innymi zwykłymi, porządnymi, przepaść ironii, niesłowiary, opozycji, poznania, uczucie, dzielące od ludzi, pogłębia się coraz bardziej. Przychodzi samotność i odtąd nie ma już porozumienia. Co za los! Oczywiście, jeśli serce pozostało dość żywym, dość mitującym, by poczuć to jako okropność! Samopoczucie wchodzi w stan zapalny, gdy człowiek czuje wśród tysięcy znak na swoim czole i wie, że nie ujdzie niczyjej uwagi.*

Do wszystkich kłopotów związanych z procesem twórczości dochodzą zmartwienia związane z samym dziełem. Najbardziej genialny uczony nie jest w stanie przewidzieć wszystkich konsekwencji praktycznych, jakie mogą wynikać z jego teorii. Historia, zwłaszcza ostatniego stulecia, świadczy o tym wymownie. Nawoływanie do odpowiedzialności za losy odkrycia, chociaż podyktowane względem na dobro społeczne, krępuje jednak swobodę ruchów, tak przecież niezbędną na polu nauki.

Z drugiej strony same dzieła, zrodzone często w bólu i samotności, zaczynają żyć własnym życiem, jak krnąbrne dzieci, na które ojciec traci wpływ z chwilą, gdy dorosną. Bywa nawet, że zaczynają przemawiać przeciwko swym autorom, dekonspirując ukryte zakamarki ich podświadomości. Ta „zdrada" może mieć jeszcze inny sens: raz stworzony obraz, wiersz, mający wyrażać określoną myśl artysty, poprzez opublikowanie staje się zupełnie bezbronny wobec najróżnorodniejszej interpretacji odbiorców, niejednokrotnie absolutnie sprzecznej z zamierzeniami twórcy.

Mówiąc o swoistej alienacji sprawców twórczej myśli ludzkiej, warto zwrócić uwagę na jeszcze jedno zjawisko, opisane w niezwykle interesującej pracy „O poznawaniu" amerykańskiego pedagoga i filozofa, J. S. Brunera. W jednym ze swych „Szkiców na lewą rękę" autor ten ukazuje paradoksalną sytuację twórcy, który w pewnym momencie zaczyna być niewolnikiem własnego dzieła. Na tę dziwną prawidłowość, którą można byłoby nazwać „paradoksem Pigmaliona", wielu przykładów mogą dostarczyć wyznania samych twórców. Często m.in. cytuje się wypowiedź Puszkina, który — jak sam pisał — nie potrafił zmienić smutnego losu swej ulubionej bohaterki „Onieginа", Tatiany. Podobnie Sienkiewicz tłumaczył się licznym czytelnikom błagającym o zachowanie przy życiu Małego Rycerza, iż nie ma, niestety, władzy nad życiem i śmiercią postaci, które przecież były tworem jego własnej wyobraźni.

To zagadkowe zjawisko obiektywizacji dzieła jeszcze w trakcie jego powstawania czeka na naukowe wyjaśnienie. Próbę takiego wyjaśnienia daje Zeigarnik twierdząc, że kreowany przez człowieka przedmiot zostaje wyposażony z góry w pewną strukturę. To ona, „logika przedmiotu" domaga się od autora takiego, a nie innego uzupełnienia.

Kontynuując listę przykrości, na które narażony jest człowiek parający się twórczością, wspomnieć należy o losach twórców i dzieł zapomnianych. Zdarza się, że dopiero śmierć zwraca uwagę na dorobek pisarza lub kompozytora, ale bywa też, że wartość ich dzieła odkrywa dopiero pokolenie „późnych wnuków". A przecież nawet uznanie u współczesnych nie gwarantuje dziełu nieśmiertelności. Przemijające mody, wojny i inne okoliczności historyczne powodują, że utwór raz powołany do życia może umierać wielokrotnie.

Można postawić pytanie, czy w obliczu tego ponurego obrazu niebezpieczeństw czyhających na twórcę ideał człowieka twórczego może być nadal godny pożądania? Czy istotnie twórczość to jedynie przekleństwo, na które człowieka skazała natura? Zaćmienie jednostronnie optymistycznej wizji heurezy, jakiej dostarcza większość literatury tego przedmiotu, jest zabiegiem bolesnym, ale chyba potrzebnym. Twórczość jako los współczesnego człowieka może mu bowiem dostarczyć zarówno najgłębszej radości jak i prawdziwego cierpienia. O tym, że jednak tylko taki los ma rzeczywistą wartość, pisał Ingarden w swej mądrej „Książeczce o człowieku":

W obliczu tej nowej rzeczywistości człowiek zapomina do pewnego stopnia o swej prawdziwej pierwotnej naturze, czysto zwierzęcej. Zapomina również o wyglądzie świata realnego, niezależnym od jego twórczego działania, do głębi odmiennym od oblicza kultury narzuconego przezeń przyrodzie obcej, a nawet wrogiej jego ideałom i najszlachetniejszym jego umiłowaniom. Czuje się szczęśliwy, gdy może być świadom obecności wartości stworzonych przez siebie lub przez swoich bliskich. Ta rzeczywistość specyficznie ludzka jest trwalsza i dłużej trwająca niż życie poszczególnego człowieka i — choć w swym istnieniu zależna jest od twórczej mocy świadomości — stanowi dla każdego z nas pewnego rodzaju dziedzictwo, które znajdujemy w naszym świecie jako dar przodków, i jako odradzanie się minionych epok dziejowych, i jako spotkanie z ludźmi, którzy już dawno nie żyją. I staramy się nie tylko zachować skarb wartości otrzymywanych do epok dawniejszych, lecz go także wzbogacać i przetwarzać naszymi aktami twórczymi i naszymi nowymi dziełami. Ale pełne zadowolenie może nam w życiu dać jedynie fakt, że udało nam się wytworzyć wartości, noszące piętno naszej osobowości. I rzecz szczególna, my sami przekształcamy się pod wpływem dzieł, które stworzyliśmy i z którymi pozostajemy w styczności bezpośredniej i intuicyjnej, i — mimo naszej woli i naszej wiedzy — odradzamy się i przekształcamy przez sam nasz wysiłek pozostawania w służbie realizacji wartości.

Wzbogacamy samych siebie oddając nasze najlepsze siły na wytwarzanie rzeczywistości człowieka w ogóle!

Józef Wiesław Zięba

* * *

Na skroju piaszczystym urwiska
pokład skośny
przeszła tędy lawa

po ostrych jej stopniach
przedziera się rzeka
nie raniąc stóp swych
w szumnych wodospadach

zmęczony wędrownik tam przysiadł
ile lat bez zmiany trwasz
zapytał

dźwigam nad sobą kopułę
jak garb albo plecak

a czerpałbym piach rękami ze zbocza
czerpał i w wodzie tej płukał

po obalonym drzewie
błyszczący ślad węgla
zostawia odległa epoka

na pustej ziemi
ile przetrwa po nas

Krystyna Łucja Paluch

Portret zbiorowy

Oczekujemy na specjalne zadanie.
W jednakowych domach,
w barach szybkiej obsługi,
pod kioskami

Rozmnożeni w szpitalach,
żłobkach, szkołach,
namiętni podglądacze świata
przez okienko telewizora.

Na dworcach, stadionach,
w urzędach zatrudnienia
oczekujemy na wspólne narodziny
do niezwykłych zadań.

Jednakowy człowiek czeka
na wielki zbiorowy dzień.

Trudno uwierzyć, że trzeba się rozejść,
że nie ma już specjalnych zadań,
że trzeba się rodzić osobno.

Piotr Grauman

Kapitulacja

Białą flagę
zatknąć na szyjce butelki spirytusu
hodować rój pszczół
w tym ciemnym chłodnym pokoju
wtedy
będzie można wreszcie
wyrzucić na strych
klepsydrę i zegarek
włożyć ręce w kieszenie
i rozdeptując plamy
po wczorajszych łzach ukochanej
obejść bez świecy
ten swój domek bez okien

Na początku był głośnik

Dokończenie ze str. 3

ciwie. Wycisnąć wodę, a zostawić samą esencję. Osobiście bardzo lubię audycję „Echo Dnia". To nie lektor, ale dziennikarz, który mówi na żywo, z pasją. Nie tylko o sprawach międzynarodowych można tak mówić.

— Dwudziestolecie rozgłośni to zapewne i dwudziestolecie pracy ludzi, którzy od początku nie rozstają się z lubelskim radiem?

— Oczywiście. Przede wszystkim Adam Tomanek, kierownik redakcji informacji. Chyba już w kołysce miał on mikrofon. Szalejący reporter. Nie tylko jego tak nazywają, on siebie również. Ale to prawda. Halina Oględzka — spikerka, a w starej rozgłośni sekretarka, maszynistka, spikerka, inspektor programu i... co tam jeszcze i... szefowa kadr. Wiesław Rogowski — realizator audycji, wytrawny rybak. Jerzy Świderski... On instalował pierwsze urządzenia. Lucjan Foryś — w starej rozgłośni szef techniczny, obecnie naczelnik wydziału konserwacji. Długi staż ma Danuta Bieniaszkiewicz, Kazimiera Błażewicz-Izdebska, Zbigniew Stepek, nasz literat, alpinista, Janusz Danielak, niegdyś dziennikarz „Sztandaru Ludu", Krystyna Kotowicz, Henryk Rygier... A technicy? Bogdan Mielnik zaczął u nas jako technik, niedawno dostał dyplom inżyniera...

— A plany na przyszłość?

— Dużo mówić. Zostawmy to na następne spotkanie. Ale chciałbym, aby jeszcze wspomnieć moich poprzedników. Jestem piątym redaktorem naczelnym. Przede mną pełnili tę funkcję: Tadeusz Chabros, Borys Mokrzyszewski, Adolf Lekki, Michał Skalenajdo. Średnia — cztery lata. Ja już mam poza sobą trzy...

— Plus siedem lat w charakterze zastępcy redaktora naczelnego. A więc dwudziestolecie rozgłośni jest i dziesięcioleciem szefostwa...

— ... i podszefostwa...

— A więc na ręce szefa od zespołu „Kameny"...

— ... uścisk dłoni...

— Oczywiście. Całować wolimy panie...

MAJ

PŁASZCZ

Henryk Makarski

PIORĘ te cholerne gacie i piorę, ręce zdzieram, piana kłębi się coraz wyżej, a plama jest, ciemna plama w kroku. Trę i trę i nic. W głowie huczy coraz bardziej, słabo mi jakoś, opieram się o ścianę, zapadam w ciemną studnię, na zielonym taborecie siadam. Idioto, przecież proszek „E" służy tylko do namoczenia bielizny, a ty pierzesz jak głupi, aż ci głowa odskakuje. No i odskoczyła, zwisa z karku, odchylona w tył, patrzę obojętnie na sufit. Plama dookoła rury ściekowej powiększa się, ciemnieje, niedługo cegła jaka wypadnie i rąbnie kogo w głowę: mnie, albo żonę. Hydraulika nie. On tylko po brodzie się drapnął i orzekł: „to w zimie samo minie, a teraz tak musi być". I poszedł. A ja zostałem, i piorę. Sam jestem, ściany puste, gazety pod nogami szeleszczą, winda za ścianą łoskocze, no i dobrze, grunt, że jest sprawa, moja wielka sprawa — jak i mój garb z tyłu na plecach przenośny, znaczy się w przenośni. Nie, nie jestem poetą, jestem urzędnikiem, chociaż właściwie sam nie wiem, kim jestem teraz. Ręce zwisają bezwładnie, dziesięć palców pokurczonych, spierzchniętych, tak różowych, jak pupcia niemowlęcia.

Już nie pamiętam, kiedy byłem niemowlakiem. Czasami, kiedy przyjeżdżam do rodzinnego domu, oglądam stare zdjęcia. Oto leżę na stole szpitalnym, łysy uśmiechnięty grubasek, obok mama w chustce, nade mną pochyla się lekarka z macierzyńskim uśmiechem, a ja wierzgam nogami, chcę ją kopnąć. O, teraz to bym chętnie kopnął coponiektórych w ten opasły zad, siedzeniem w fotelu spracowany, pełen odcisków, w rękę bym napluł, pełną odcisków, spracowaną trzymaniem słuchawki telefonicznej, prałbym po pyskach obleśnych. Na razie piorę tylko moje gacie, już mi lepiej, enzymy wywietrzały. Oglądam więc te zdjęcia, oglądam, o, tutaj jeszcze byłem uczniakowaty, stoję na podwórku z głową zadartą do góry, na głowie poplamiona atramentem licealna czapka z żółtym paskiem, na nogach obryzgane błotem brązowe trzewiki, i spodnie rurki, wystające spod nowego płaszcza z laminatu, w szarą kratę. Ten płaszcz kupiłem sobie za własne zarobione pieniądze. A było to tak...

Wakacje pomaturalne gorące były. Od rozżarzonego słońca zapalił się las na Rudce, a wieczorem już całe niebo krwiście płonęło i wiatr zwęglone paprochy gnał przed siebie, ciskał strzępami sadzy w okna. Matka myła szyby, a ojciec długo stał na podwórku, patrząc ponuro w tamtą stronę. Pewnie przypomniał sobie własny los pogorzelca, płonącą

Rys. L. Szalecki

ojcowiznę, ryczące krowy w zamkniętej oborze. Potem całe życie tyrał jak wół i co ma? Czworo dzieci, krowę, dwie świnie, rentę stolarską i zaharowaną wiecznie żonę czyli moją matkę, która nawet na chorobę nie miała nigdy czasu, bo ktoś musiał wszystko w garści trzymać, żeby się nie rozsypało, a nas żeby wszy nie zjadły. W domu nie przelewało się, a jeżeli nawet, to z pustego w próżne. Niby jestem dorosły, po maturze, a co ja im pomogłem? Oni pracowali, a ja się uczyłem, i wydawało mi się, że tak być powinno, taka kolej rzeczy. Matka wstawała o czwartej nad ranem, gotowała kartofle dla świń, a ojciec szykował się do pracy, coś tam dłubał w warsztacie, rozgrzewał „simsonek" i odjeżdżał, pokasłując nieregularnie. Ja cały dzień w książkach, częściej podróżniczych niż szkolnych. Tylko w niedzielę było inaczej. Wszyscy spali dłużej, mama robiła obiad z dwóch dań, a ojciec zdejmował ze ściany stare skrzypce, w skupieniu, długo tarł smyczek kalafonią, podkręcał skrzypiące kluczyki, naciągając struny, nasłuchiwał czy już, szarpiąc lekko, opierał wygodnie tułów skrzypiec gdzieś pod brodą i grał. Najpierw cichutko, potem coraz głośniej i szerzej, z rozmachem prowadząc smyczek prawą ręką. Tęsknota przedwojennych romansów. Palce lewej ręki, grube, kanciaste i zrogowaciałe, lekko drgały na strunach. Oczy miał zamknięte i wszyscy wiedzieliśmy, że ojciec wspomina. Grał tak ze dwie godziny, potem wieszał skrzypce na ścianie, wzdychał, łuskał pestki słonecznika i wyganiał krowę na trawę, chodził obok i patrzył w las. A teraz stoimy obok siebie, wysportowany młodzian o białych dłoniach i białowłosy starzec. Ojciec marszczy brwi, odwraca poraną twarz od płonącego lasu i patrzy na mnie. Wydaje mi się, że widzę w jego zmęczonych niebieskich oczach cień żalu.

Na drugi dzień wpadam do Bolka:

— Chcesz zarobić?

— Mowa, bardzo.

— No to chodź ze mną.

Poszliśmy. Żar buchał z góry okrutny, oblepiał ciało, dławił w przełyku. W taką pogodę nawet bezpańskie psy kryją się w cieniu drzew przydrożnych. Z rodzinnej chałupy na przedmieściu do centrum było cztery kilometry. Na rozkopanej od lat głównej ulicy mieściły się główne urzędy, więc ruch kipiał znaczny. Skakaliśmy z kamienia na kamień wśród błotnistych rozkopalisk, które parowały w słońcu, cuchnąc okropnie mieszczańskim brudem. Zarośnięci furmani przy kiosku z piwem klęli na przemian po polsku i po chachłacku, wzdychając ciężko „jej bohu". Zdmuchnięta piana osiadała im na brodzie, ściekała na noszone cały rok wytarte baranie kożuchy i smrodliwe gumowce. Odstawiali kufle i bekając donośnie włazili na zawalone węglem gumaki o łysych oponach — szesnastkach od geesowskich Żuków. Dżgali konie w opasłe zady końcem bata jak banderowskim tryzubem i odjeżdżali, wolno i człapliwie. Pijany malarz pan Franciszek — kupował dziecku mleczną czekoladę, opowiadając bełkotliwie starej Michalaczce z kiosku od lat to samo: szedł front, a on z tyłu, z pepeszą, w oddziale specjalnym. I płakał przy tym, nie wiadomo nad czyim losem: dziecka, swoim czy tych, którzy chcieli uciec i zginęli zdziwieni. Fachowiec z niego dobry, tylko tę słabość jedną miał. No, jesteśmy w fabryce.

Sklecony z nieheblowanych desek kantorek fabryki mebli był dla nas od tego dnia drugim domem. Tu podpisywaliśmy — zaspani jeszcze — listę obecności i przystępowaliśmy do czynności łopatologicznych. Było nas ośmiu, a dobrych łopat pięć. Trzy zawierały w sobie drobną uciążliwość — poprzeczny uchwyt na trzonku był obluzowany i przycinał skórę dłoni dosyć skutecznie. Jaki start do łopat — taka praca cały dzień, rzecz refleksu. Rzucaliśmy więc piach tak dzień cały: łopata — samochód, samochód — ziemia. Niwelowaliśmy nierówności na placu. Słońce parzyło w białe inteligenckie plecki, wstydliwie obnażone. Opalony i zakurzony latami placowej roboty majster Paluch patrzył na nas z chytrym uśmiechem, co godzinę wbijał łopatę w górę piachu i szedł do palarni. Tam palił z namaszczeniem, wykorzystując ten jeszcze jeden od przedwojny trwający w fabryce przywilej dla palących, przerwę na papierosa. Odpoczywać można było tylko tu, paląc.

Rozmawialiśmy z Bolkiem o przyszłych studiach, ja do Lublina, on do Warszawy, i czas przy rozmowie szybciej mijał. „Za pięć trzecia, bierz kapotę, porzuć majstra i robotę!" — krzyczał spocony Bolek za pięć fajrant, i szliśmy do kantorku, brzękając łopatami. Kierownik Filipon nakładał okulary w nijakiej, bezbarwnej oprawce i patrzył na nas z zaciekawieniem. Miał swoje metody. Oglądał nas uważnie, a kiedy syrena wyła na trzecią, ślinił chemiczny ołówek, spluwał fioletowo w kąt i wpisywał nam w odpowiednie rubryki cyfrę 6 lub 7, zależnie od humoru, co oznaczało, że zarobiliśmy sześć metrów sześciennych razy dziewięć złotych sześćdziesiąt groszy równa się pięćdziesiąt siedem złotych i sześćdziesiąt groszy. Kierownik Filipon nie lubił papierkowej roboty. W czasie wojny był szoferem. Często otwierał okno w kantorku, podpierał się lewą ręką pod brodę i trzymanym w prawej chemicznym ołówkiem stukając do taktu, nucił chrypliwie:

„Ej drogą dróżką pod bombami
śmierć codziennie ścigała się z nami,
poczekaj siostro — nie tak ostro,
dla szofera roboty jest dość!"

Kiedy plac został zrównany z ziemią, nosiliśmy rury żelazne, które trawa porastała w różnych zakamarkach fabryki. Kiedy rury wreszcie legły z łoskotem na jednej kupie, zaczęliśmy rozbierać stary kibel. A kierownik Filipon codziennie przy dźwięku syreny ślinił chemiczny ołówek i wpisywał nam swoje 6 lub 7. Kierownik Filipon nie używał komputera do skomplikowanych przeliczeń. System „6—7" stosował do każdej, najbardziej niewymiernej roboty, obserwując nas uważnie. I tak było do tego pamiętnego dnia.

Dzień jak co dzień, tyle że weselszy, bo matki boskiej pieniężnej. Tysiąc osiemset sześćdziesiąt dwa złote w kieszeni, pamiętam jak dziś. Bolek kupił sobie garnitur, a

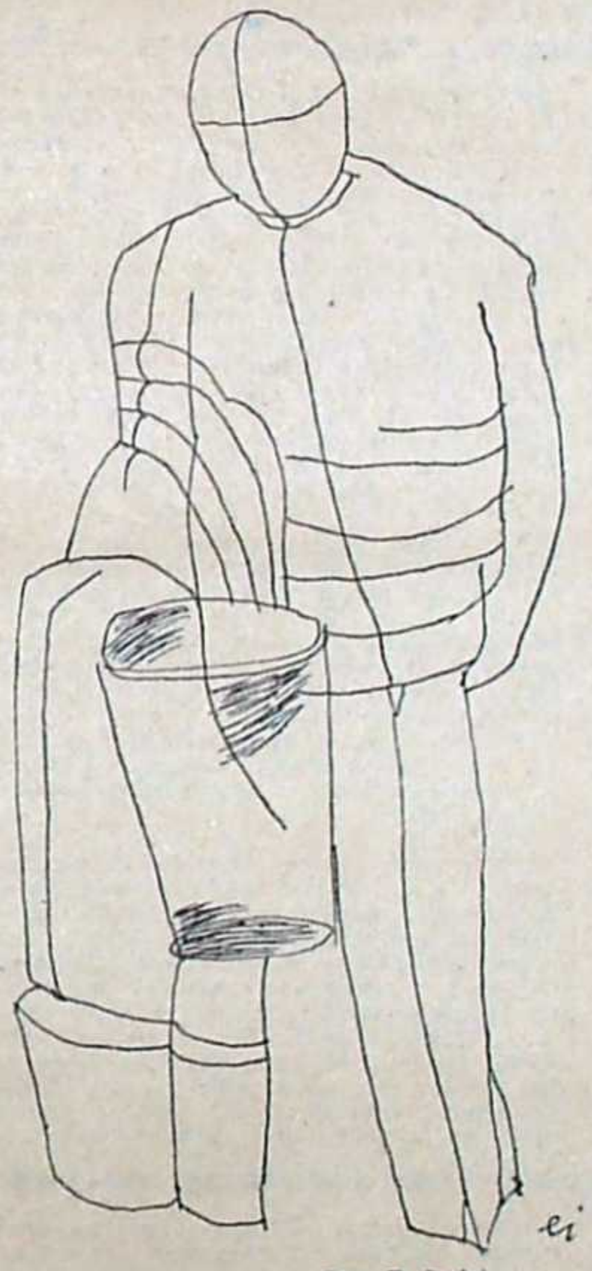

Rys. E. Inglot

ja płaszcz — laminat, raglan w szarobrązową kratę, na zimę. Niosłem ostrożnie, żeby nie zabrudzić. Potem wypiliśmy po piwie w Stylowej, pogadaliśmy trochę i idziemy, jacyś tacy szlachetniejsi od tego wszystkiego. Na Placu Wolności obkręciliśmy kierata dookoła skwerku, zajrzeliśmy do Maleńkiej — puchy czyli fatamorgana. Mijamy stację benzynową, pan Henio na stanowisku. Siedliśmy na ławeczce i patrzymy. Podjeżdża taksówkarz pan Bronek, paliwo pobrał, rachunku nie potrzebuje. A teraz Star z PZDL-u, kierowca pan Franio nie wysiada nawet z wozu. Pan Henio podbiega, wręcza rachunek, inkasuje pieniądze, paliwa nie tankuje, grabula, pan Franio uśmiecha się do pana Henia porozumiewawczo, jutro ma mu przywieźć cegłę na budowę domku. „Ot taki skromny, piętrowy, człowiek się jeszcze nie dorobił" — wzdycha pan Henio. Idziemy dalej. Upał. Duszno. Kiosk z lodami:

— Poproszę za dwa czterdzieści!

— Są tylko włoskie, po cztery pięćdziesiąt.

— Jak to włoskie, a gdzie automat?

— W naprawie, zepsuł się, a my tak te włoskie domowym sposobem, proszę pana, robimy.

Dochodzimy do mostu. Krzna w tym miejscu nie jest szeroka, płytko tu nawet, kąpiących się nie ma, widać brudno-białe ścieki z mleczarni. Tam dalej stoi dwóch wędkarzy, na zakręcie doły są i ryba czasem bierze. Nagle krzyki: „Ratunku, ratunku, topi się!" Biegiem. Wędkarze krzyczą i stoją bezradnie w miejscu, pokazując coś palcami. Patrzę, kłębi się coś w wodzie. Bolek skoczył, ciągnie. Dziewczyna. Sztuczne oddychanie, muł, szlam, rzęzi, otwiera oczy. Ściągamy z niej morkę ciuchy. Okrywam ją swoim nowiutkim płaszczem z laminatu. Sukienka schnie obok na trawie. Uśmiecha się blado, topielica jedna! Nawet ładna, ale gówniara jeszcze. Po jakimś czasie odzywa się do nas, dziękuje, przeprasza. „Dlaczego to zrobiłaś?" — pytam. Nic nie mówi, głowę spuściła i płacze.

— Ja ją znam — powiedział Bolek, kiedy poszliśmy dalej. — Mieszka na Kościuszki, w nowym bloku. W domu ma dobrze. Ojciec jest inżynierem architektem, a matka lekarzem. Wiecznie zapracowani, on — nad pracami zleconymi wieczorami siedzi, a matka dyżury łapie jak może. Kiedy wracają do domu, dziecko już śpi. Kiedy wychodzą — jeszcze śpi. Od kilku lat rozmawiają z nią tylko w niedziele, a w taki dzień — najwyżej przez telefon. Dorobili się szybko, mają komfort, ale córka tego nie docenia. Już dwa razy w tym roku uciekała z domu, a teraz znowu jej coś do głowy strzeliło. Taka to wdzięczność, z nudów jej się w głowie przewraca, nie musi przecież pracować, ma wszystko, czego zechce, ale ona tego nie docenia.

Bolek medytował jeszcze dłuższą chwilę, a ja szedłem obok, niosąc pod pachą zwinięty, mokry i brudny płaszcz. Myślałem o tej dziewczynie, i o tym, co to oznacza „mieć rodziców".

W domu siadłem na taborecie i milczałem, wpatrując się w swoje dłonie, pełne odcisków i zaschniętych pęcherzy. Obok leżał brudny płaszcz.

Chrobot klucza w drzwiach. Żona przyniosła zakupy.

— No i co, wyprałeś, kochanie?

— Prawie.

— Daj, dokończę, a ty wyfroteruj ten większy pokój, jutro przecież niedziela, przyjeżdżają rodzice. O, ta plama na suficie łazienki powiększa się, trzeba zawołać hydraulika.

Biorę kawałek miękkiej flaneli, klękam i froteruję. Pot kapie na podłogę. W kącie leży dzisiejszy „Kurier", rzucam okiem na ostatnią stronę: „Przypominamy, że dzisiaj w piątek 25 sierpnia 1972 roku słońce wzeszło o godz. 4.34, a zajdzie o godz. 18.42. Imieniny obchodzą Ludwika i Luiza. W sobotę 26 sierpnia słońce wzejdzie o godz. 4.37, a zajdzie o godz. 18.42. Imieniny obchodzą Maria i Zefiryna. Z historii: 1944 — na Starym Mieście w Warszawie zginęli członkowie Warszawskiego Sztabu Armii Ludowej. Maksyma: Nie dopuść, aby to, co dobre w twoim życiu, pozbawiło cię lepszego. Przysłowie dnia: Kto nie lubi hałasu, nie wchodzi do pracowni blacharza".

Krystyna Makuła-Trochimiuk

przynoszę w eden łuskę niepokoju

jaką do ciebie arką płynąć
by lżej od spopielałych jedwabi
ciszej od szeptu zaczęłam trwać
by ciszej
przyszłam upałem w dymiący horyzont
po kostki w bólu i po słowo naga
nim słońce zgasło wizerunkiem ronda
szukałam głazu a znalazłam słowo
skomplikowane milczenie na pamięć
i kości bladość którymi rzucałeś
i liście ugru oto stoję cicha
przynosząc w eden łuskę niepokoju
a ty mi mówisz że to łuska rybia

lato gdy przyjdzie

chcę przeżyć jeszcze
taki letni wiersz
rozjuszony słońcem
broczący makami
z tobą pośród łąki
pomyśl...
z tobą można
z ostów zrobić bukiet
dmuchawcem na wietrze
można mierzyć czas

✿ ✿ ✿

...a ty mi tak nie stój
i o bożych krówkach nie rozprawiaj
bo mi jesteś za bajeczny
boś za gładki za różowy
nic mi nawet nie wynika
z takiego stania
na ciebie patrzenia
odczuwania satysfakcji
boś mi taki malusieńki
że cię tulić cichuteńko
ślicznościami cię nazywać

Krystyna Makuła-Trochimiuk jest pierwszą kobietą prezentowaną w niniejszym cyklu sylwetek młodych pisarzy z Lubelszczyzny. I w dodatku jest kobietą pełną osobistych uroków, nie wstydzącą się w poezji swej kobiecości, co

nie oznacza wcale, że poezja ta karmi się ciepłym mlekiem macierzyńskich trosk i przytulnym mrokiem buduarowych nastroików.

Trochimiukowa urodziła się w Lublinie. Tutaj także ukończyła liceum ogólnokształcące. Aktualnie studiuje pedagogikę na UMCS. („Wierzę, że człowieka troszkę można wychować, a fundamentalnym dziełem mego życia jest syn pięcioletni").

Debiutowała wierszem w „Kulturze i Życiu" (dodatku do „Sztandaru Ludu"), mając 13 lat. Tak. Następnie publikowała we „Współczesności", „Za i Przeciw", „Nowej Wsi", „Czerwonym Sztandarze" (dziennik wychodzący w Wilnie) oraz „Kamenie". Drukowała wiersze w dwu almanachach i w „Lubelskim Arkuszu Poetyckim", gdzie jej utwory bardzo wysoko ocenił Jacek Kajtoch. W LSW wydała tomik-witrynę „Po tym wszystkim soczystym" (1969), ilustrowaną przez Grzegorza Sądeckiego. Przygotowuje do druku następny tomik. Jest członkiem Koła Młodych przy lubelskim oddziale ZLP.

„Nie widzę potrzeby przemawiania w poezji z pięterka intelektualnego. Syntez poetycko-filozoficznych budować nie będę, bo z tego nic nie wynika. Naczelne zadanie poezji to wzruszać, gdyż człowiek we wzruszeniu najbliższy jest prawdy o sobie". Tak twierdzi i jest to postawa uczciwa. „Brzydzę się turpizmem i nowym realizmem — to tylko dokument epoki, a nie poezja". I tak twierdzi, choć tu poniektórzy mogliby już dyskutować.

W każdym razie poezję tę można by sytuować gdzieś w nurcie nowego romantyzmu (nowego sentymentalizmu?). „Wcale bym się nie obraziła za to" — powiada Trochimiukowa.

MP

O katach w dawnym Lublinie

Mieczysław Targoński

PAMIĘTNYM okresem dziejów Lublina stał się początek XIV w. Wówczas razem z przywilejem lokacyjnym i prawem magdeburskim otrzymało miasto szereg „wynalazków" średniowiecza: szyny do przypiekania, żelazne trzewiki do miażdżenia stóp, koło, na którym rozciągano ciało i inne narzędzia tortur.

System sądowniczy dawnego Lublina opierał się na prawie magdeburskim i na torturach. Nie wolno było nikomu odstępować od tego prawa. 21 września 1494 r. Jan Olbracht zagroził wójtowi lubelskiemu, Stanisławowi Morsztynowi, karą 100 grzywien za odchylenie w stosowaniu prawa magdeburskiego.

Razem z prawem niemieckim zjawili się w Lublinie: kat i hycle — postacie nieznane w dawnej Polsce. Byli to Niemcy. Ich następcy też przeważnie byli Niemcami. Polacy niemal nigdy nie podejmowali się tych funkcji. Dlatego trzy miasta: Lublin, Sandomierz i Opatów miały tylko jednego kata (r. 1400). Gdy go zabrakło — proponowano skazańcowi ułaskawienie, jeżeli zgodzi się objąć wakujący urząd.

Kat miał kłopot z ożenkiem. Żadna kobieta nie chciała zostać jego żoną. Mógł zdobyć małżonkę, gdy ułaskawiono przestępczynię za wyrażenie zgody poślubienia „mistrza". Wolno mu było również ożenić się z wdową po skazańcu.

Kat wykonywał swoje czynności w pomieszczeniu tortur pod ratuszem i na miejscu straceń. W roku 1452 egzekucje odbywały się na placu, gdzie później stanął klasztor i kościół Bernardynów (wg. Kobierzyckiego). Około r. 1518 tracono przestępców na przedmieściu Piaski.

Mistrz pobierał 12 groszy tygodniowo. Osobno płacono mu za torturowanie (12 gr), obwołanie wyroku (6 gr), za wykonanie wyroku (2 zł), za „wyświecenie" (wypędzenie z miasta) 2 zł. Uposażenie „mistrza" uzupełniały dochody za „czyszczenie miasta". Podlegało ono na usuwaniu z ulic cuchnących resztek padliny. W r. 1575 zmuszony był uprzątać spalone psy. Powierzono mu również nadzór nad domem publicznym, istniejącym już w latach 1528—1529. Funkcję tę wykonywał prawdopodobnie bez wynagrodzenia.

Domek kata stał na pochyłym placu w pobliżu kościoła św. Ducha. Z tyłu, obok szpitala, było obejście omijane z daleka przez mieszkańców miasta. Unikali oni spotkania z mistrzem i wszelkich z nim kontaktów. Wystarczył bowiem zatarg z katem lub podanie mu ręki, by rzemieślnika wykluczyć z cechu i zamknąć mu warsztat.

Jeszcze większą awersję odczuwano względem hycla. Załatwiał on bowiem najpodlejsze czynności. Kat ścinał głowy lub podpalał stos, na którym płonęli żywcem skazańcy. Wszystkie inne prace wykonywali hycle, „pachołki katowskie", „ludzie katowscy". Należało do nich: ucinanie rąk i nóg, ćwiartowanie, rozciąganie końmi, wieszanie itp. Poza tym chwytali i zatajali bezdomne psy, pastwiąc się nad swymi ofiarami, co budziło nadzwyczajny wstręt.

Słowo h y c e l było w dawnej Polsce wyrazem najgorszej obelgi. Natomiast sam pachołek kata odgrywał ważną rolę w sądownictwie. Według prawa magdeburskiego przyznanie się oskarżonego do zarzucanych mu zbrodni stanowiło podstawowy dowód winy. Zmuszano go do tego torturami, które wykonywali hycle.

Proces karny rozpoczynał się od uwięzienia podejrzanego. Za więzienie służyły lochy pod dawnym ratuszem. Więźniowie leżeli w ciemnych celach na wiązkach zbutwiałej słomy, o chlebie i wodzie. Słońce nigdy tam nie zaglądało i dzień nie różnił się od nocy. Panowała głucha cisza i tylko niekiedy słychać było pisk głodnych szczurów, które rzucały się na leżących. Więźniów często wiązano w kozieł, z dłońmi przymocowanymi do stóp. Całą dobę pozostawali skuleni. Ale najstraszniejszy był zgrzyt klucza i szczęk otwieranych drzwi. To zbliżali się oprawcy...

W ponurym podziemiu, oświetlonym słabym blaskiem świec, urzędował kat i hycle. Pierwszą czynnością po wprowadzeniu obwinionego było postraszenie torturami. Gdy to nie skutkowało, kazano mu się rozebrać i bito rózgami (territio realis). Jeśli i ten sposób zawodził — sędzia żądał stosowania tortur. Ofiarę przypiekano rozpalonym żelazem, ściskano palce śrubami, polewano roztopioną siarką. Do najokropniejszych tortur zaliczano buty hiszpańskie i koło (rota). Niekiedy sędzia nie wytrzymywał nerwowo i zarządzał przerwę w inkwizycji.

Udręczeni i konający więźniowie przyznawali się do występków popełnionych lub nie popełnionych i wydawali na stracenie ludzi całkiem niewinnych, jako rzekomych wspólników zbrodni. Wtedy wleczono ich na plac straceń, gdzie miała się odbyć egzekucja. Gdy wprowadzano skazańców — przez zgromadzony tłum widzów przebiegał dreszcz zgrozy...

A wokół miejsca kaźni stał tłum nieruchomy
I patrzał na katusze... Cisza była głucha

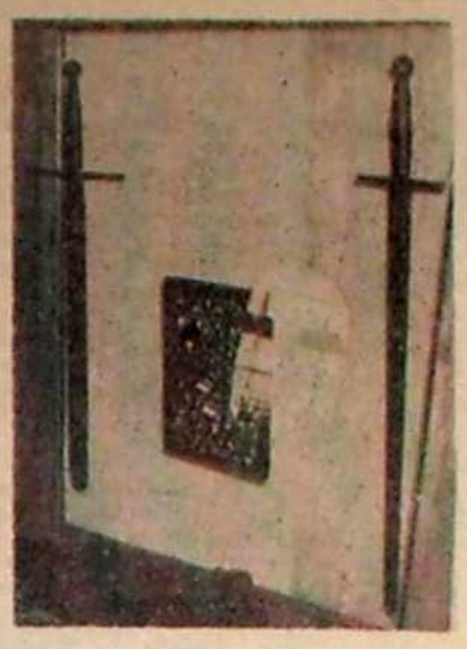

Miecze katowskie w Muzeum Okręgowym w Lublinie.
Fot. M. Targoński

Tak głucha, że zgrzyt każdy kleszczy i łańcucha
I każdy krzyk skazańca huczały jak gromy...
(Artur Gliszczyński)

Na tle szarej masy ludzkiej jaskrawo odbijała się czerwona sylwetka kata.

Wybitni pisarze epoki Odrodzenia protestowali przeciw niesprawiedliwym, średniowiecznym prawom i sądom, a Biernat z Lublina miał odwagę pisać, *że wielcy złodzieje małe wieszą...*

Jan Ostroróg w swym dziele *Monumentum pro Reipublicae ordinatione* żądał zniesienia tortur przy badaniu oskarżonych (w. XV).

Dopiero jednak w roku 1776 ustawa zabroniła stosowanie okrutnego procederu śledczego. Wówczas przestała w Lublinie funkcjonować słynna morderownia. Zmieniły się prawa, lecz nie zmieniły się ludzie. Wójt w dalszym ciągu przechowywał katowskie miecze. Obcinanie rąk, uszu, nosa zastąpiono karą chłosty. Kat i jego parobcy zaspokajali swe niskie instynkty wykonując „zmodernizowane" wyroki pod szubienicą lub pręgierzem w Rynku, przed Kapucynami, na Kozach. Wymierzano od 50 do 500 ciąg. W razie zasądzenia większej liczby — egzekwowano je na raty, zawsze w piątki. Przed wykonaniem wyroku wystawiano skazańca na widok publiczny. W dłoniach trzymał on tabliczkę wyjaśniającą przewinienie.

Jeszcze w roku 1795 piętnowano złodzieja wypalając mu na plecach znak szubienicy. Czyniono to przy ostatnim smaganiu. Następnie przy świetle pochodni hycle wypędzali go z miasta. Pod karą śmierci nie wolno mu było wrócić.

Wreszcie zmieniły się czasy, znikły szubienice i pręgierze, rozpleszczły koszmary ponurych wieków, zatarły ślady prowadzące do dawnych kaźni.

W roku 1936 grupa dziennikarzy wraz z konserwatorem wojewódzkim Dutkiewiczem zwiedzała lochy poszukując drugiej winiarni. Natrafiono wówczas na wnęki i sklepienia, gdzie dawniej mieściło się więzienie śledcze (jak podała K. Gawarecka). Rozpoznano ślady kamiennych prycz. Niewyraźne napisy na murach, kreślone alfabetem łacińskim i prawdopodobnie wschodnim, być może perskim — świadczyły, że oskarżeni o czary i inne „zbrodnie" drapali z rozpaczy ściany, nie znajdując drogi do ucieczki ze straszliwej katowni.

Obecnie czas wszystko zatarł i pozostały tylko dokumenty historii.

OKOLICE SZTUKI

Żyć czy przeżyć?

JAK wiadomo, co zresztą nie jest takie pewne, warszawska Galeria „Foksal" uruchomiła „żywe archiwum", które stanowi „aktualną reakcję na zjawiska artystyczne, nieartystyczne, antyartystyczne". Pozostawiając na uboczu kwestię znalezienia kryterium podziału zjawisk na wyżej wymienione, kwestię dziś fundamentalną wobec istnienia sztuki do jedzenia, do kochania, do zarzynania, do politykowania, warto podkreślić, że „żywe archiwum ma być kanałem, w którym dzieła znajdują się w swej własnej gotowości — już poza pobudzającą je myślą twórcy a przed zniekształcającymi zabiegami odbiorcy". Innymi słowy dzieła takie, jeśli dobrze zrozumiałem, istnieją w pustce idealnej, poza psychologią, poza historią i kulturą.

Kto wie, może zrozumiałem dobrze, ponieważ w jednym z akapitów programu owego archiwum jego autorzy stwierdzają wręcz, że „Nie reprezentujemy historii lecz izolujemy myśli". W tym miejscu ośmielam się jednak zauważyć, że poza reprezentowaniem określonego stanu świadomości, profilowanego przez określony czas i kulturę, Wiesław Borowski i Andrzej Turowski nie reprezentują nic szczególnie frapującego, albowiem reprezentują sprawę starą jak świat, czyli właśnie postawę człowieka historycznego, który ma coś za sobą, w czymś tkwi, a być może w coś jeszcze się uwikła. Niemniej jednak nie uważam „żywego archiwum" za zjawisko błahe, lecz znamienne dla naszych czasów, opanowanych przez nudę, z której jedynym wyjściem zdaje się być wejście do świątyni buddyjskiej czy do „żywego archiwum". Można i w taki sposób ratować się przed humanistyczną wiarą w społeczne wartości sztuki, jeśli wiara ta wydaje się komuś rzeczą naiwną i staroświecką, nadętą abstrakcją, która jednak na zasadzie psychologiczno-kulturowego nawyku czepia się człowieka nowoczesnego. Gdyby nawet zgodzić się, że sztuka jako narzędzie kształtowania ikonografii zbiorowej świadomości poszła już dawno do domu, to wątpić należy, czy żywe archiwum stanie się „nowym kontekstem dla twórczej aktywności", albowiem za mało w nim ż y w e g o człowieka z jego problematyką moralną, za mało w jego obrębie okazji do ludzkich spotkań, co zresztą potwierdzają pustki w sali wystawowej Galerii „Foksal".

„Przeczymy każdej formie prezentacji dzieła" — wołają animatorzy galerii, bo w przeciwym wypadku musieliby przystać — twierdzą pośrednio — na taki świński proceder, jak reklamowanie twórcy „w przygotowanych z góry prospektach". Wobec takiego dictum wypada przypomnieć, że to właśnie „Foksal" lubowała się w obfitych drukach i prospektach, może najbardziej w kraju. Autorzy programu ciągle przeczą czemuś lub komuś, wpadając ostatecznie w sprzeczności, co w pierwszym rzędzie świadczy o ich współczesnym statusie intelektualnym, w sposób nieco przewrotny i być może przez nich nieprzewidziany. Mimo wszystko „żywe archiwum" skłania do uwagi, stawiając problem formy, obecności i funkcjonowania dzieła sztuki oraz zagadnienie pozainstytucjonalnych warunków powstawania twórczości.

W galerii znajduje się kręciołek z taśmą pokrytą fotodrukiem, na której odnotowano pewne wydarzenia w taki czy inny sposób związane z działalnością artystów i krytyków zbliżonych do tej placówki. Między innymi widnieje tam winieta „Struktur", dodatku plastycznego „Kameny" z 1959 r., na którego łamach pisywał również Wiesław Borowski. Były to czasy przełomowe dla polskiej sztuki współczesnej, czasy ważne, których konsekwencje do dziś ponosimy. Pewien wkład do owej rewolucji wniosło również środowisko lubelskie, konkretnie Grupa „Zamek", po której aktywności pozostało nieco katalogów, recenzji, mitów i to signum na taśmie nawiniętej na walek kręciołka. Reszta, a więc obrazy i inne przedmioty artystyczne, albo uległa rozproszeniu, albo od lat spoczywa w magazynach Muzeum Okręgowego, które tym samym stało się „archiwum", tyle, że martwym.

Muzeum to zawsze cierpiało na brak odpowiednio obszernych sal wystawowych, z tytułu swojego profilu eksponowało przede wszystkim sztukę historyczną, współczesność markując kilkoma różnej jakości eksponatami, wśród których najciekawszym bodaj jest jeden z dwu obrazów Leszka Rózgi, jak na ironię — łodzianina. „Sami swoi" i nierzadko bardzo wartościowi spoczywają sobie w magazynie, czekając na lepsze czasy... I chyba czasy te nastaną szybciej, niż skłonni bylibyśmy przypuszczać, przytłoczeni już obietnicami bez spełnień.

Oto PKZ zabierają się, podobno energicznie, do prac remontowych w północnym skrzydle Zamku, gdzie właśnie znajdzie się galeria lubelskiej twórczości plastycznej, której udostępnienie powinno nastąpić po roku 1975. Samo skrzydło ma być oddane wcześniej, w 1974 r., lecz konieczność remontu dotychczasowych pomieszczeń muzealnych uniemożliwi szybkie uporządkowanie i zagospodarowanie odrestaurowanej części. Można przypuszczać, że terminy te zostaną dotrzymane, a nawet, gdyby znów coś stanęło na tzw. lubelskiej przeszkodzie kulturalnej, opóźniając rzecz całą o rok czy półtora, byłaby to w końcu strata niewielka wobec szansy, jaka otwiera się przed naszą plastyką. Oto bowiem wspomniana galeria określi s p e c j a l i z a c j ę Muzeum.

Według zapowiedzi dyrektora Z. Ślusarskiego, Muzeum Okręgowe skoncentruje swoją działalność właśnie na lubelskiej twórczości plastycznej, co poza wydzieleniem odpowiednich sal ekspozycyjnych wiąże się z rozbudową pracowni konserwatorskiej i — miejmy nadzieję — z właściwym ukierunkowaniem polityki wydawniczej.

W niedalekiej przyszłości dojdzie zatem do ciekawego spotkania: dzieł i poglądów sprzed lat piętnastu z dzisiejszą świadomością estetyczną ich autorów, wśród których znajdują się m. in. artyści i krytycy spod znaku Galerii „Foksal".

Jeśli plany Muzeum Okręgowego zostaną zrealizowane, co w znacznym stopniu zależy od instytucji i przedsiębiorstw towarzyszących sprawie, może przyjdzie nam zrewidować pogląd, jakoby lubelskie działania kulturalno-artystyczne miały posmak działań prowincjonalnych, „uruchamianych" przez ludzi myślących nie tyle o życiu sztuki, co o przeżyciu.

IJK

POD § PARAGRAFEM

Obyczaje

SYLWETKA ludzka obu skazanych jest dosyć jasna, to znaczy jest dosyć ciemna, ale wiadomo, o co chodzi. I gwałt, którego dokonali, raczej niewątpliwy. Tak przynajmniej uznał Sąd Powiatowy w Lublinie (IV Wydział Karny), skazując jednego z oskarżonych na 5 lat pozbawienia wolności, drugiego zaś — na lat 6. Tyle że wyrok jeszcze nieprawomocny, ponieważ obaj skazani złożyli skargę rewizyjną i sprawa zawędrowała do Sądu Wojewódzkiego.

Ryszard M., bezpośredni sprawca gwałtu — lat 20, wykształcenie podstawowe, bez zawodu, nie pracuje, na utrzymaniu rodziców-robotników; w 1967 roku karany przez sąd dla nieletnich za kradzieże motocykli (z zakładu poprawczego uciekł, a następnie włamał się z kumplami do kiosku spożywczego), notowany w izbie wytrzeźwień. Tadeusz G., pomagający koleżce w gwałcie — lat 21, podobna charakterystyka; karany przez sąd dla nieletnich za kradzieże kieszonkowe (pobyt w domu poprawczym), ostatnio za kradzież skazany na 10 miesięcy więzienia z zawieszeniem. Obaj mieszkają w Lublinie, a ulubionym miejscem ich pobytu jest kawiarnia „Lublinianka" porą wieczorową.

Do gwałtu, oczywiście, nie przyznają się. 31 maja ubiegłego roku poszli z dziewczyną na spacer do Parku Ludowego — około godz. 22. Wpierw jeden, a potem drugi proponowali jej pewną drobną przysługę erotyczną. Odmówiła. Tadeusz G. udał się więc na dworzec PKP, bo mu się pić zachciało. Wtedy Ryszard M. powiedział, żeby mu się oddała. I dalej: „ona wówczas do mnie, że darmo tego nie zrobi, dałem jej 100 zł, powiedziała, że to jest mało, zabrałem jej te 100 zł i powiedziałem — sp...". O ławkę mogła się uderzyć, kiedy jej wyrywał tę stówę. Niebawem zresztą wrócił Tadeusz G., do którego ona powiedziała, że Rysiek się wygłupia, i zapłakała. Po czym wyszli z dziewczyną z parku, dali taksówkarzowi 50 zł, żeby ją odwiózł do domu. I tu koniec całej imprezy. Byli wprawdzie po wódce, ale dobrze pamiętają te zasadnicze fakty. A dziewczynę znają tylko przelotnie — z „Lublinianki", tańczyli tam z nią parę razy. I tyle.

Później w śledztwie Ryszard M. przypomniał sobie jeszcze pewne szczegóły. Gwałtu, oczywiście, nie dokonał, lecz pamięta jedynie, że coś tam się działo z jego lewą ręką, więc to nie jest żaden gwałt. A zeznania dziewczyny? „Ponieważ to było wieczorem, mogła ona tego nie zauważyć" — orzekł stanowczo. A w ogóle to Ryszard M. od dawna bardzo źle się czuje, bo w roku 1970 miał prawe płuco przebite parasolką, i prosi o zwolnienie z aresztu.

Ale w końcu domaga się przekazania, gdzie trzeba, swojego pisma: „Uprzejmie zwracam się z prośbą do Sądu Powiatowego IV Wydział Karny w Lublinie o zezwolenie mi na zawarcie związku małżeńskiego z poszkodowaną w prowadzonym przeciwko mnie postępowaniu karnym z art. 168 § 1 kk. Prośbę swoją motywuję tym, iż w/w była moją sympatią, nawet zaryzykowałbym wyrażenie: narzeczoną...". I tak dalej. Jak oni się kochali, jak on jej pragnął, ale na przeszkodzie stanęły „drobnomieszczańskie poglądy sympatii", jak chciał postawić przed faktem dokonanym „prawo i rodzinę", jak „doszło do zbliżenia fizycznego za obopólną zgodą" i jak dziewczyna pod wpływem „szoku i wstydu" zeznała później, że to był gwałt. (Na rozprawie sądowej okazało się, że list ten pisał w imieniu Ryszarda M. jakiś wycwaniony aresztant ze wspólnej celi, a gwałciciel się na to zgodził, bo — jak wyjaśnił — chciał „uniknąć rozprawy").

Ryszard M. siedzi więc (od lipca 1971 roku) i walczy, jak potrafi. Tymczasem Tadeusz G., zatrzymany w dwa miesiące potem przez milicję lubelską, dokonuje — wedle późniejszego ustalenia Sądu — „czynnej napaści na funkcjonariuszy MO" i ucieka w Polskę. Aresztowano go w Katowicach, gdzie w bójce ulicznej, w której interweniowało dwu wyższych oficerów KG MO, uderzył jednego z nich w twarz, drugiego zaś usiłował przekupić, legitymując się na koniec nie swoim dowodem osobistym, który ukradł komuś w katowickim autobusie. To wszystko zaliczono Tadeuszowi G. na rozprawie sądowej.

Kierując się całością materiału dowodowego (m. in. badaniami sądowo-lekarskimi), można przyjąć następującą wersję gwałtu. Od około godz. 18 poszkodowana — zresztą raczej stała bywalczyni „Lublinianki" — siedziała w tej kawiarni, bo była tam umówiona z jednym z muzykantów miejscowej orkiestry. Z grajkiem jakoś konwersacja się nie kleiła, więc dziewczyna wyjęła zeszyt i zaczęła się uczyć, co stanowiło gest désintéressement wobec partnera. Niebawem też poszła w tany, m. in. z Tadeuszem G. i Ryszardem M., których znała z widzenia. Gdy około godz. 21 wyszła z kawiarni, ci ostatni panowie za nią. Dotąd i później nic nie piła, choć byli jeszcze we trójkę w „Dorotce", gdzie kompani raczyli się winem. Potem poszli do Parku Ludowego i tu Ryszard M. wyjął nóż i zagroził, że poderżnie jej gardło i obetnie włosy, jeśli ona mu się nie odda. Była szarpanina, bicie po twarzy, a następnie gwałt przy czynnej pomocy Tadeusza G. Początkowo chcieli ją zostawić rozebraną w parku, zabierając jej ubranie ze sobą. Ostatecznie dali na taksówkę, wsadzili w pojazd i sobie poszli. Gentlemani. W taksówce dziewczyna straciła przytomność i kierowca odwiózł ją na pogotowie. Była godzina 2.40 w nocy.

„W toku dochodzenia z zemsty zeznawałam przeciwko oskarżonym, że siłą wprowadzili mnie na Podgrodzie, że prowadzili mnie pod ręce i że siłą posadzili mne na ławce. Faktycznie to ja dobrowolnie poszłam do parku i dobrowolnie usiadłam na ławce. Nie spodziewałam się, że mnie chcą zgwałcić" — tak ostatecznie zeznała poszkodowana na rozprawie sądowej. Dziewictwo straciła na miesiąc przed tym gwałtem. Też wyszła z „Lublinianki", gdzie tańczyła z „jakimś Krzyśkiem". Potem z nim i z siostrą — „w dwie pary" — udali się na Czechów... pospacerować. Dostała w buzię od „jakiegoś Krzysztofa" i oddała mu się. „Bo się go bałam" — powiada.

Miała wtedy 15 lat i była uczennicą jednej z lubelskich szkół, córką rolników spod Lublina.

POM

moje lektury

Świat poetycki Przybosia

POETYCKA twórczość Juliana Przybosia już dawno została zamknięta w szereg skodyfikowanych opinii i formuł, pochodzących często od tak świetnych krytyków jak Kazimierz Wyka i Artur Sandauer. W latach ostatnich wnikliwej badawczej uwadze poddali jego twórczość Zdzisław Łapiński i Jan Prokop, pamiętać również trzeba o wnikliwej książce Janusza Sławińskiego, w której jednak poezja Przybosia została włączona w jednolity model poetyki awangardy krakowskiej. Nie zapominajmy też, iż autor *Miejsca na ziemi* także wypowiadał się często o swojej poezji, odsłaniał mechanizmy działania swej wyobraźni, zapraszał czytelnika do własnego pisarskiego warsztatu.

Sens tych przypomnień jest dwojaki. Od strony czytelnika patrząc — trudno niekiedy uwolnić mu się od sugestii krytycznych, zaś odbiór poezji Przybosia odbywa się nie bezpośrednio, lecz za pośrednictwem wspomnianych formuł. Obraz tej poezji bywa więc zniekształcany, ulega petryfikacji. Wydaje się, iż obiegowe sądy o liryce autora *Równania serca* działają paraliżująco także na krytykę: opinie brane są za pewniki i wyroki ostateczne. Oczywiście, przedstawiam sprawę w sposób uproszczony i krańcowy. Faktem jest, że każdy autor książki o poezji Juliana Przybosia staje przed zadaniem bardzo wdzięcznym, ale niezwykle trudnym. Takie też zadanie podjął w książce *Świat poetycki Juliana Przybosia* Jerzy Kwiatkowski.

Powiedzmy od razu: powstała książka wybitna i ważna, proponująca czytelnikowi nowe odczytanie poezji Przybosia. Wyrosła z zamiaru jej *re-wizji* i *re-interpretacji* (terminy Kwiatkowskiego), z opozycji wobec jednostronności dotychczasowych ujęć. Chodziło krytykowi o przedstawienie Przybosia „jako poety pełnego, nie tylko poety-kreatora czy słowiarza, lecz także — *poety-autopsychoanalityka, poety — świadomego czy nieświadomego — ewokatora mitów, poety-filozofa, poety-metafizyka, prawie: poety-mistyka*". Kto ma dobrze w pamięci, co pisało się o poezji Przybosia, świadom jest, że powyższe wyliczenie zapowiada odmienne od dotychczasowych jej ujęcie. Nawet czytelnik dobrze zżyty z dziełem Przybosia odnajdzie w materiale dowodowym, przedstawionym przez Kwiatkowskiego, momenty niespodziane. Oto Przyboś — wróg wszystkiego, co młodopolskie, używający z powagą słowa „chuć". Oto autor artykułu *Człowiek nad przyrodą*, w którym wytwór ludzki wyniesiony został nad naturę (samolot jest piękniejszy od góry!), a kontemplacja przyrody potępiona, napisał po latach o poezji: *Mogę jej nie pisać, lecz widzieć ją, słuchać, wąchać i dotykać doświadczając przygody tej wiosny.* Niedaleko w gruncie rzeczy oddalił się tu Przyboś od przekonań Skamandrytów, którzy poezję życia przenosili nad poezję pisaną...

Nie o satysfakcje, płynące z niekonsekwencji autora *Oburącz*, chodzi przecież w książce Kwiatkowskiego. Stara się on w swej książce odtworzyć wygląd świata poetyckiego Przybosia, ukazać główne schematy wizualno-ruchowe, układające się w pewną całość oraz — na jakiej zasadzie schematy te funkcjonują. W rozdziale *Start* Kwiatkowski pokazuje punkt wyjścia Przybosia jako poety. W wierszach, skazanych potem przez pisarza na zapomnienie, zawartych w *Śrubach* i *Oburącz*, dokonał się „rozruch" tej poezji. Przybosiowi świat objawił się jako mechanizm, który należy wprawić w ruch, i w tym kontekście wprowadza Przyboś motyw koła, które — jak pisze Kwiatkowski — będzie się *toczyło przez całą poezję Przybosia*, wtedy też pojawia się odczucie nadmiaru sił i dążenie do eksplozywności.

Te zasady otrzymały w wierszach z następnych tomów wielorakie, doskonałe wcielenia. Kwiatkowski uczynił je przedmiotem niezwykle wnikliwej i obszernie udokumentowanej analizy, zwłaszcza w rozdziałach *W języku koła*, *W języku pionu* i *Koła czasu*. Motyw koła jest jednym z tych, które decydują o „przestrzenności" poezji Przybosia, a także — jako element ruchu — stanowią jedną z podstaw obrazowania poetyckiego. Ale implikacje, jakie niesie dla tej poezji koło — są wielorakie. Oddajmy zresztą głos Kwiatkowskiemu: koło *przestrzenne i czasowe, przyczyna ruchu i tor ruchu, obieg czasu i powrotność pamięci, ograniczona miara i nieskończoność, dążenie do doskonałości i filozoficzna zasada istnienia* — oto możliwości interpretacyjne. Jak te koła naprawdę funkcjonują — łatwo sprawdzić, wystarczy otworzyć jakąkolwiek z książek poetyckich Przybosia.

Podobnie jest z motywem ruchu pionowego — w dół, a zwłaszcza w górę. Świat, rzeczy przedstawione są w tej poezji w stanie faktycznej lub potencjalnej eksplozji, nadmiar siły prowadzi do wybuchu. Ta postawa miała także motywację historyczną (żagaryści w podobnej sytuacji zareagowali katastrofizmem...). Potwierdził to Przyboś, gdy pisał w 1945 roku słowo wstępne do *Miejsca na ziemi*: *Od 1930 roku wyrażałem w poezji zbliżający się zwrot, poprzez wzbierającą burzę wiodłem nadzieję, że wojna przyniesie przemianę rewolucyjną świata.* [...] *Gdy przeglądam te utwory, tak jak ukazywały się w druku od 1922 roku, stwierdzam ustawiczne o c z e k i w a n i e w y b u c h u.* (podkreślenie — TK).

Powojenna liryka Przybosia uległa daleko idącym przemianom, które książka Kwiatkowskiego przedstawia w rozdziałach *Wszystko i Nic* oraz *Świat — światło*. Do liryki Przybosia przedostaje się problematyka egzystencjalna (niezwykle interesujące są uwagi Kwiatkowskiego o zbieżności niektórych wypowiedzi Przybosia z myślą Sartra) — *ekstatyczne poczucie jedności bytu* oraz *ekstatyczne poczucie wieczności*. W wielu wierszach objawia się dążność do zespolenia z Całością, zamach na Wszystko; ma ona zresztą swój biegun w problematyce nicości i śmierci, coraz poważniejsze miejsce znajdującej w poezji Przybosia.

Analiza węzłowych spraw jej w przekroju problemowym przeplata się w pracy Kwiatkowskiego z ujęciem chronologicznym. Krytyk ukazuje więc wewnętrzną strukturę świata poetyckiego Przybosia, a jednocześnie stara się przedstawić, jak wygląda ona w przekroju czasowym. Książka nie ogranicza się więc do opisu, do obserwacji faktów, stara się ukazać funkcję każdego elementu. Czyni to autor z wielką precyzją i zawsze stara się wychodzić od języka, którego analiza prowadzi do wniosków filozoficznej czy światopoglądowej natury. Dwa przykłady. Kiedy Kwiatkowski zauważa „dwuznacznościową" strukturę wypowiedzi Przybosia z ostatnich zbiorów, powiada iż w ten — paralelny — sposób przejawia się *dwuznaczność słowa, dwuznaczność osobowości, dwuznaczność czasu*. Albo kiedy obserwacja problematyki słowo — milczenie prowadzi go do stwierdzenia: *dialektyka: język — milczenie, jest paralelna, wydaje się niekiedy pseudonimem innej dialektyki. Właśnie dialektyki: byt — niebyt* (przypomina się tu obserwacja Sandauera, który dostrzegł w poezji Leśmiana adekwatność „kalekiego" języka i „kalekiego" świata).

Kwiatkowski nie stroni od ocen i wartościowania, często ujawnia swoje sympatie, nastawiony jest polemicznie wobec niektórych ujęć poprzedników, także nieraz wobec przedmiotu analizy. Ciekawe: sądy wartościujące (niekiedy ograniczające się do słowa „znakomity" — bez dowodu) najczęściej występują w wywodach poświęconych przedwojennej poezji Przybosia, powojenna zyskuje mniej ocen (w tym i ujemnych). Ale unikanie ocen — to też wartościowanie. Zresztą nie ma się co dziwić, bowiem Przyboś pozostanie przede wszystkim jak autor *W głąb lasu*, *Z ponad* i *Równania serca*. Książka Kwiatkowskiego dodaje tej sprawie dodatkowych uzasadnień.

Tadeusz Kłak

Jerzy Kwiatkowski: Świat poetycki Juliana Przybosia. Warszawa 1972. Państwowy Instytut Wydawniczy.

krzyżówka nr 21

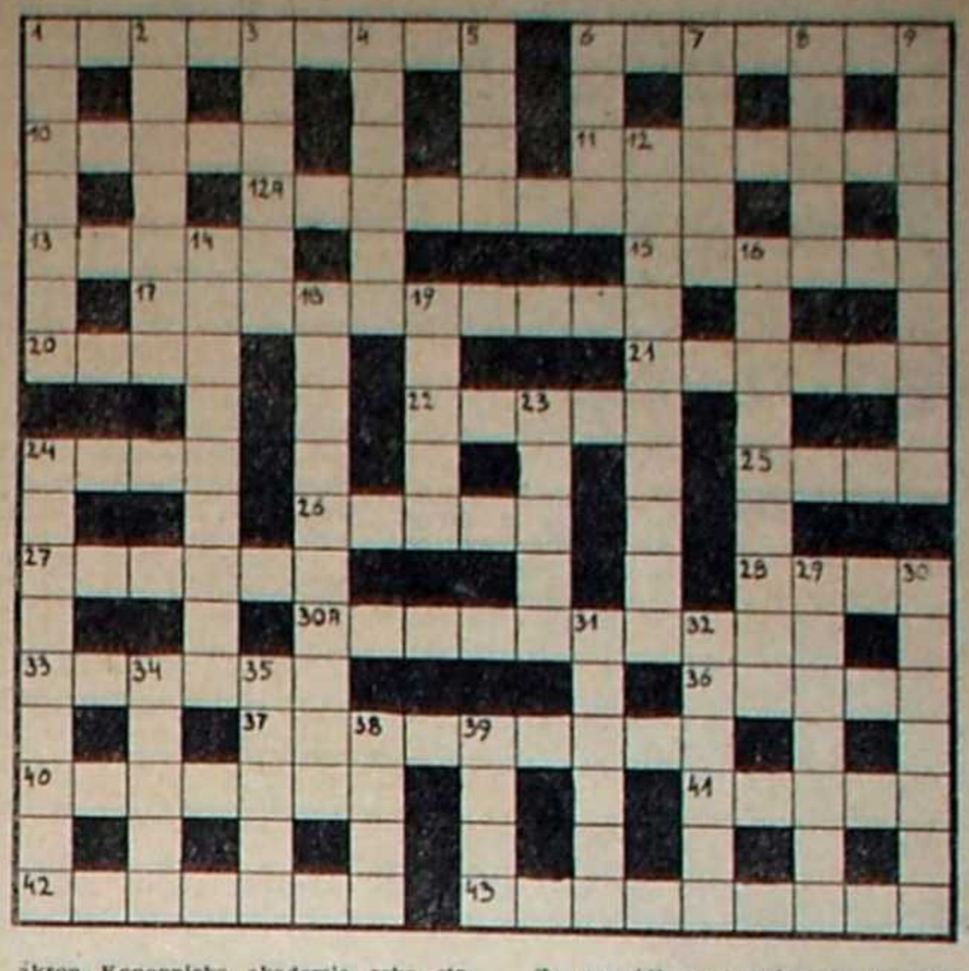

POZIOMO: 1. rosyjski poeta romantyczny, 6. specjalista od nowotworów, 10. grupa społeczna w Indiach, 11. jedno z 7 wzgórz starożytnego Rzymu, 12. A. największy historyk starożytej Grecji, 13. największe kino w międzywojennym Lublinie, 15. czyściciel miejski, 17. pisarz i dramaturg szwedzki, autor „Panny Julii", 20. członek plemienia, które w VI wieku przybyło z Azji nad Dunaj, 21. babilońsko - asyryjska bogini miłości i wojny, 22. piękny owad, 24. przeszkolenie kilkudniowe, 25. wolno chodzi, 26. strona w księgowości, 27. miasto w Teksasie z rafineriami nafty, 28. prawy dopływ dolnej Narwi, 30. A. upiorzyca pijąca krew, 33. arystokratyczny ród rzymski, z którego pochodziło kilku papieży, 36. tkanina na podłogę, 37. mierzy głębokość wody, 40. rodzaj dawnej peleryny, 41. pantofle lekkoatlety, 42. twórca zamków w Wiśniewcu Nowym i Łańcucie, 43. wybitny pisarz włoskiego renesansu.

PIONOWO: 1. zakładanie wsi i miast w dawnej Polsce, 2. klub towarzyski, 3. mówca, 4. francuska nazwa prowincji Wietnamu, od której pochodzi nazwa zatoki 5. to, co idzie do pieca hutniczego, 6. deszcz lub śnieg 7. trzos, sakiewka, 8. republika radziecka, 9. pisarz rosyjski z XIX wieku, autor „Zwykłej historii", 12. poeta rzymski, twórca Eneidy, 14. udają pistolety, 16. powieść Zofii Kossak-Szczuckiej, 18. poetka polska, autorka „Ikarowych lotów", 19. zły duch, 22. stolica Gedymina, 24. historyk grecki, autor „Anabazy", 29. współczesny pisarz polski, zajmujący się problematyką wiejską, 30. wyspy Pacyfiku (wspak), 31. tornister, 32. wydawnictwo zajmujące się architekturą, 34. deszczowa pogoda, 35. jezioro koło Augustowa, 38. łąka w górach 39. zjazd do kopalni.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 16 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 121). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 19

POZIOMO: Zawieyski, strach, Noe, Anaund, Peru, ukrop, Inari, IGA, Aret, Hamilkar, Wasilewska, marsz, ład, mak, akron, Konopnicka, akademia, ręka, sto, kurcz, astat, hurt, twist, Ewa Oberon Boznańska.

PIONOWO: zaduch, wzór, etap, Szaniawski, India, seradela, rupia, Hauptman, owies, gra, resor, Ada, Iłłakowicz, Eda, Makarenko, rynek, ZMP, Andersen, kieks, Oni, kat, attyka, aktor, sztab, Atma, tors.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki Nr 19 nagrody wylosowali: Andrzej Grobelski, Lublin, ul. Długa 88/1, Kotlarczyk Stefania, Smogorzów, pow. Przysucha, woj. kieleckie, Bohdan Bisikiewicz, Wrocław, ul. Rejtana 8 m. 5, Kazimierz Piłuś, Wronowice p-ta Turkowice pow. Hrubieszów.

Listy do KAMENY

Dwie strefy?

Lubelska prasa codzienna doniosła że poczta ma zamiar instalować aparaty telefoniczne w nowowznoszonych osiedlach LSM. Lokator mieszkania będzie decydował, czy chce mieć aparat podłączony do sieci, czy też rezygnuje z tej radości cywilizacji. Dowiedzieliśmy się o tym w sytuacji, kiedy zdobycie telefonu jest marzeniem ściętej głowy, szczególnie jeśli pozostała część ciała mieszka poza LSM. Jako mieszkaniec Kalinowszczyzny stwierdzam kategorycznie, mogąc to udowodnić szczegółowo, że zachodnie dzielnice Lublina są faworyzowane zarówno przez władze miasta, jak i inne instytucje, dbające o standard cywilizacyjny. Poczta, chcąc widocznie zachować pozory, usprawiedliwia wybór LSM faktem lepszego przygotowania tego rejonu pod względem technicznym. Świetne tłumaczenie! Wynika z niego niedwuznacznie, że taka np. Kalinowszczyzna jest po prostu zaniedbana.

Mieszkańcom osiedli „Kolejarz" obiecuje się telefony gdzieś po roku 1975. Wielu właścicieli małych i starych domków w tej dzielnicy korzysta, jak przed dziesiątkami lat, z ulicznych hydrantów, nie posiadając w domu ani wodociągów, ani kanalizacji. Kilka tysięcy ludzi obsługuje jedna ponura restauracja samoobsługowa, zapluta przez amatorów piwa i noża. Przedszkole nr 13 jest prawdopodobnie najbardziej zatłoczonym w Lublinie. Na osiedlu „Kolejarz" jest klub, który działa jak wiejska świetlica. Na Kalinowszczyźnie zlokalizowano skansen Lubelszczyzny, o którym redakcja niejednokrotnie pisała, lecz nikt nie wierzy w jego planowe uruchomienie, albowiem wiązałoby to się z uprzednim wykwaterowaniem wielu rodzin, dla których potrzeba nowych mieszkań. Swoją drogą mógłby okazać się interesujący sondaż socjologiczny LSM i Kalinowszczyzny: kto i jak mocarny mieszka tu i tam?

Janusz Wawrzosek
Lublin

„Nicowanie kultury"

W 19 numerze „Kameny" w artykule „Nicowanie kultury" pisze Ireneusz J. Kamiński o funkcjonowaniu Powiatowych Komitetów Kultury i Sztuki. O ile sobie przypominam, nie tak znów dawno, bo może dwa lata temu, powołano na Lubelszczyźnie Powiatowe Komisje Rozwoju Kultury, które działają raczej sprawozdawczo, a ich członkowie wchodzą często w skład wspomnianych Komitetów. Po co tyle „ciał"? Po co powołuje się wciąż nowe instancje społeczne, jeśli wiadomo np., że wcześniejsze, utworzone dla identycznych zadań i na podobnych zasadach, w wąskim zakresie zdały egzamin? Nic z tego nie rozumiem. Wiem przecież jedno: jak się kultury nie „posmaruje", to nic jej nie pomoże.

Autor artykułu przytacza opinię przewodniczącego Komitetu Kultury z Biłgoraja, który twierdzi, że wszystko zależy od ludzi, cały rozwój kultury. W porządku, tak jest w istocie. Ale jakie ta indywidualna inicjatywa stwarza perspektywy rozwoju kultury, pojmowanej jako ważna dziedzina polityki społecznej? Opierając się tylko na dobrej woli i społecznikowskiej pasji garstki rzetelnych działaczy, nigdy nie osiągniemy zakładanych efektów. Tu chodzić winno o wypracowanie systemu upowszechniania i rozwijania kultury, a nie o jednostkowy wysiłek. Coś za długo pracujemy nad tym systemem. Może pracujemy źle?

Barbara Spólnicka
Chełm Lubelski

Edukacja seksualna

Zdejmujemy odwieczne tabu ze spraw seksualnych, kierując się tzw. szczęściem człowieka. Ze oto: po swym „zdjęciu", ludzie pozbędą się wielu kompleksów i nauczą się czerpać odpowiednią radość z pożycia dwu płci. A ja tak sobie patrzę i widzę, że tej radości wcale nie przybywa, przeciwnie, rodzą się takie podłe zjawiska, jak coraz liczniejsze gwałty zbiorowe, jak całkowity brak szacunku młodych dziewcząt dla siebie samych. Coś mi ta cała historia przypomina przypadek źrebaka puszczonego na tor przeszkód bez odpowiedniego treningu.

Czas chyba, jeśli rozwydrzenie seksualne stało się faktem, zacząć uczyć młodych kulturalnego podejścia do „tych spraw". Czas najwyższy — zdajemy sobie chyba z tego wszyscy sprawę, lecz co w praktyce robimy? Bardzo mało. Zwierzał mi się młody człowiek, że usiłując kupić jakąś broszurę wprowadzającą w tajniki pożycia seksualnego o odpowiednim, czyli l u d z k i m poziomie, odwiedził kilka księgarń lubelskich, wszędzie odprawiany z przysłowiowym kwitkiem. Co ciekawsze i chyba znamienne, odmownym odpowiedziom towarzyszyły nierzadko dwuznaczne uśmieszki sprzedawczyń, konsternujące amatora kultury seksualnej. No cóż, można powiedzieć; nauczy się sam... Tylko czego? Techniki? Na pewno tylko tego.

Jan Komornicki
Lublin

Czytelnicze problemy

W felietonie „Czytelnicze problemy", zamieszczonym w 19 numerze waszego pisma, „Ijon" zwraca uwagę na zbędne polemiki toczone na łamach miesięcznika „Poezja", które jeśli w ogóle nadają się do publicznej prezentacji, to najwyżej w rubryce skandali towarzyskich, a takowych, nie prowadzi żadne pismo w Polsce. Osobiście powiedziałbym, że to jeszcze pół biedy, ostatecznie pyskówki na łamach niektórych naszych periodyków znakomicie je ożywiają, wprowadzając nieco prawdziwego życia w wątki nudnych, akademickich rozważań o roli przydawki, na przykład, w języku mistrza Gałczyńskiego. Gorzej znacznie, że w ogóle utarł się u nas zwyczaj polemizowania „na pięści". Odnosi się wrażenie, że zwaśnionym dyskutantom nie chodzi o ustalenie prawdy, wytłumaczenie dodatkowe swego stanowiska, które wzbudziło kontrowersje, lecz o pognębienie, wyśmianie i skompromitowanie przeciwnika. Temu celowi służą metody insynuacji i pomawiania o głuptactwo, przypominanie komuś o kiedyś popełnionych błędach, co rzekomo ma owego osobnika dyskwalifikować w oczach opinii czytelniczej. Bo właśnie tu chodzi przede wszystkim o tę opinię, o „zagranie" przed nią roli zręcznego boksera, co nie pozwoli sobie w kaszę dmuchać. O czasy, o obyczaje (literackie)!

Proponuję, aby redakcje zdecydowaniej ingerowały w teksty „polemiczne", nie przepuszczając takich, które naruszają normy przyzwoitości i kultury życia codziennego.

Franciszek Wencel
Warszawa

Planowanie kultury

(...) W tym natomiast fragmencie listu chciałbym zwrócić uwagę na zastanawiający fakt ignorowania przez władze kulturalne różnych szczebli opracowań socjologicznych, związanych z prognozami w zakresie kultury. Owszem, kupuje się odpowiednie wydawnictwa, takie jak „Kultura i Społeczeństwo", i stawia spokojnie na półkę, gdzie spoczywają bezużytecznie. Gdyby było inaczej, już kilka lat wcześniej poznalibyśmy prawdę, że niedoinwestowanie wsi w urządzenia ogólnocywilizacyjne i kulturalne grozi w perspektywie wzrostem postaw zachowawczych na wsi, co ze zrozumiałych względów powinno niepokoić. Sporo na ten temat pisali socjologowie kultury, np. Anna Pawełczyńska, prowadząca badania m. in. na Lubelszczyźnie.

Polskie zafascynowanie nauką kończy się na ogół na uroczystych jubileuszach uczonych, których poza tym traktuje się jak sympatycznych staruszków, przydatnych jako dodająca powagi otoczka życia społecznego w wersji oficjalnej. Całe szczęście, że stan ten się zmienia, że nauka znajduje należyte jej miejsce w życiu społeczno-gospodarczym. Dotyczy to głównie nauk technicznych i przyrodniczych, lecz czy także humanistycznych? Wątpię, bo czytam prasę krajową która coraz częściej wspomina o kryzysie polskiej humanistyki.

Paweł Bordowicz
Sandomierz

Najlepszą formą terminowego otrzymywania „Kameny" jest prenumerata

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI i MACIEJ PODGÓRSKI. Redaktor techniczny i korektor — IRENA KOMOSA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Numer łamał KONSTANTY KĘPA

Adres redakcji: Lublin, ul. Narutowicza 35

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-33, sekretarz redakcji i dział publicystyki 225-35

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 111; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 2217. 29.IX.72. 11.929. B-6

Miłość — domena kobiety

W sierpniu br. odwiedziła naszą redakcję Waleria Sulima, twierdząc, że publikowana w Poste-Restante opowieść pt. „Smak miłości i łez" wyszła spod jej pióra. Ponieważ zakończyliśmy już druk opowieści, przeto nie pozostało nam nic innego, jak opublikować wywiad z jej autorką, przeplatany fragmentami listów, które w trakcie druku historii Niny i Mariusza nadesłali nam czytelnicy na ten temat.

— Jest więc pani autorką „Smaku miłości i łez". Jak doszło do powstania dzieła?

— To był student prawa z Lublina, poznałam go na wakacjach, chyba w 1961 roku, miałam siedemnaście lat wtedy. I była to właśnie wakacyjna miłość, która się skończyła wraz z początkiem września, jak należało przewidywać. Dla mnie to była miłość pierwsza, wielka i nieszczęśliwa. Powróciłam z wakacji do internatu Technikum Ekonomicznego w Zamościu, gdzie się wtedy uczyłam. I postanowiłam rozpacz swą przelać na papier. Z przeciwnej strony zeszytu przedmiotowego zaczęłam pisać opowieść. Koleżanki zachwycały się, dopingowały i czekały na następne stronice. Późnym wieczorem do snu w internackiej sali jedna z koleżanek czytała, a pozostałe słuchały. Z miesiąc to pisałam.

Donoszę z satysfakcją, że prawdopodobnie udało mi się spotkać jedną z współautorek tego dzieła. Jest nią uczennica klasy VII zamieszkała na Górnym Śląsku. Według jej relacji — powieść powstała w sanatorium dziecięcym w Istebnej. Oparta jest na fabule przedwojennej chyba książki pt. „Prawdziwa miłość". Dziewczęta tak wzruszyły się losami Niny i Mariusza, że postanowiły opracować skróconą wersję ich dziejów. Autorki pochodziły z różnych stron Polski — stąd ogólnokrajowy zasięg „Smaku miłości i łez".

— Fabuła opowieści nie pokrywa się z pani dalszymi losami, bo pani przecież żyje, w odróżnieniu od bohaterki, która zginęła tragicznie. Utworu nie można więc uważać za beletryzowany pamiętnik.

— Faktycznie, to się nie zgadza, ale musiałam wtedy wymyślić coś tragicznego, byłam przecież zawiedziona i zrozpaczona na śmierć i życie, wówczas tak było, i ta historia Niny i Mariusza nie mogła się skończyć w jakimś nudnym małżeństwie. A z chłopakiem widziałam się już tylko raz, były jeszcze obiecanki powrotu do wakacji i koniec. Wtedy, gdyśmy się widzieli, pisałam już powieść, ale on o tym nie wiedział.

— „A potem znowu codzienność, kurz i zakochanie też przemija już". Zna pani tę piosenkę?

— Gdzieżbym nie znała! Ale potem też zdarzały się miłości, jak w piosence. „Ma imię, adres, kolor włosów..."

— Ta pierwsza jednak najprawdziwsza?

— Reguły nie ma. Obecnie jestem mężatką i mamą 3-letniej Agnieszki. W życiu zawodowym zaś — sekretarzem gromadzkiej rady. Żałuję tylko, że rzuciłam studia. Człowiek w ogóle nigdy nie jest mądry. W przyszłym roku obowiązkowo wybieram się na prawo, bo teraz od sekretarzy i naczelników przyszłych gmin będzie wymagane wyższe wykształcenie, z czym wiąże się podwyżka pensji, a w dalszym planie — umocnienie administracji terenowej. Ale pan, zdaje się, nie o tym ze mną chciał rozmawiać...

— O tym także, lecz wróćmy jeszcze do opowieści pani autorstwa. Jak to się mogło stać, że krążyła ona w ręcznych odpisach po kraju, a w każdym razie po Lubelszczyźnie?

— Koleżanki z internatu ją przepisywały. A potem rozjechałyśmy się po Polsce, i chyba stąd... Jakieś wersje zbliżone spotkałam w Biłgoraju i Krasniku. Któryś kolega z pracy chwalił się, że mu córka do domu przyniosła tę opowieść, wszyscy u niego płakali.

Bardzo dużo jest dzieci ze wsi, które otrzymują „Kamenę" w szkole i nie będą mogły w wakacje czytać dalszych odcinków tej powieści, więc prosimy cię „Kameno", ażebyś drukowała po jakieś trzy odcinki w każdym numerze, żeby wszystkie odcinki zostały wydrukowane do wakacji.

Bardzo nas wzrusza nieszczęśliwa miłość Niny i Mariusza, która jest piękna a zarazem rzadko spotykana w dzisiejszym świecie. Powieść ta interesuje i wzrusza nie tylko nas, ale jest chętnie czytana przez młodzież i dorosłych. A więc zwracamy się z gorącą prośbą i zapytaniem do redakcji „Kameny", czy jest możliwość zrealizowania filmu według tej powieści? Jesteśmy przekonane, że cieszyłby się powodzeniem szerokich mas.

— Czy sądzi pani, że opowieść ta mówi jakąś prawdę o dzisiejszym świecie?

— Jak najbardziej. Życie takie bywa, szczególnie życie kobiety, romantyczki w dodatku. Miłość — domena kobiety.

— „Każdy mężczyzna to wątła brzozy gałązka, która z każdym dniem przybiera nowe pozycje. Każdą kobietę napotkaną „kocha", stając się na krótko jej niewolnikiem. On sam nie wie, co się z nim dzieje. Można to nazwać krótkim snem. Po pewnym czasie dochodzą do wniosku, że okłamywali sami siebie. Po czym mężczyzna niby pszczoła zmienia swoje kolejne kwiaty". Tak pani napisała w opowieści. Nadal podtrzymuje pani ten sąd o mężczyznach?

— Są ludzie i ludziska.

— Czy nie ciąży pani poczucie anonimowości własnego losu, nie zechciałaby pani czegoś zmienić w swoim życiu w sposób zasadniczy albo przynajmniej nieco ulepszyć swoją sytuację?

— ...

— Zna pani twórczość Heleny Mniszek Rawicz-Radomyskiej?

— Znam „Trędowatą" i chyba coś jeszcze. Trochę podobne do tego, co ja napisałam. Ale Mniszkówna mi się nie podoba. Bo cóż tam jest, tam nic nie ma, westchnienia tylko. Wszystko to w życiu za mało.

Odpis „Smaku miłości i łez" — z oznakami częstego czytania — posiadał ojciec jednego z moich kolegów. Był to rękopis, a charakter pisma był charakterem ojca mojego kolegi. A więc ów ideał miłości łagodnej, prostej i nieśmiertelnej jest bliski nie tylko moim dawnym szkolnym koleżankom. Twierdzenie o kultywowaniu przez „młódź" cudownie lirycznych wzorców uczucia również pozwalam sobie podważyć. Opowieść była przez większość moich rówieśników uważana za dzieło niezwykle uwagi, a jej autor jako — cytuję — szczególny kretyn. Muszę jednak przyznać, że miała ta powiastka swoistą popularność. Z zaciekawieniem czytały ją panienki, którym rodzice zapomnieli podsunąć lektury w rodzaju „Życia seksualnego" K. Imielińskiego czy mniej „gorszącej" pozycji „Między nami dziewczętami". W jakim celu publikuje się ten kicz? W ramach akcji odkrywania młodych talentów? Czy ku polepszeniu smaku czytelnika? Gdy o to chodzi, to mogę zapewnić, że większą poczytnością cieszy się wśród nas Różewicz, nie mówiąc o Hemingwayu czy Faulknerze, których zna bardzo wielu młodych ludzi.

— Jakich autorów lubi pani czytać?

— Kraszewski przede wszystkim, potem Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa. Ostatnio czytałam „Kamienne tablice" Żukrowskiego — ale świetna rzecz, pięknie pisze!

— Co by pani powiedziała człowiekowi, który w pani obecności stwierdziłby, że Kraszewski i Sienkiewicz to są marne wielopisy, a ich twórczość niewiele potrafi dać współczesnemu czytelnikowi?

— Takiemu komuś dałabym w twarz!

— A z nowej prozy młodszych autorów co pani czytuje?

— Próbowałam, ale to za ciężkie dla mnie, nie daję rady.

— Czy zastanawiała się pani nad tym, że „Smak miłości i łez" był u nas publikowany na nieco innej zasadzie niż reszta utworów literackich?

— Nie zastanawiałam się nad tym.

— Umawialiśmy się przedtem, że pani napisze dalszy ciąg tej opowieści, dotyczący losów potomstwa Niny i Zbyszka.

— Dziesięć dni temu zaczęłam pisać, jutro skończę. To będzie też o miłości, jak się ludzie kochają szczerze i serdecznie, czego dziś rzeczy nie można spotkać.

Rozmawiał: **MP**

falsetem

Dwója dla kogo?

● Uczęszcza do klasy licealnej. Na długich nogach nosi długie buty, które zwracają powszechną uwagę. Takich nikt nie ma. „Mama mi kupiła w komisie. Za 2000 złotych". Tak mówi, kiedy ją o nie pytają. Nawet nauczycielka zainteresowała się raz tym nabytkiem, ale kiedy usłyszała cenę — mina jej bardzo zrzedła...

● Jest uczniem, który w tym roku szkolnym, jeśli wszystko pójdzie dobrze, otrzyma maturę. Codziennie przyjeżdża i odjeżdża samochodem. Kiedy jest w dobrym humorze, wozi nim swoje koleżanki. Twierdzi, że samochód otrzymał w prezencie od ojca. Za dobra naukę. Ukończył lat osiemnaście.

● Byli kiedyś całą klasą na wycieczce szkolnej. Towarzyszył im młody nauczyciel. Tak się z nim pod koniec spoufalili, że proponowali: „Chodź z nami na piwo. No, chodź, daj się namówić. Nikomu o tym nie powiemy". Zwracali się po imieniu. Per ty. Nie reagował. Udawał, że nie słyszy.

● Obchodziła imieniny. Zafundowała koleżankom i kolegom kilka butelek wina. Dwa stoliki kawiarniane okupowali do późnego wieczora. Święto. Pieniądze dali rodzice. Jedynaczka. Trzeba mieć dobre serce dla dziecka.

● Przez kilka dni nie było go w szkole. Przyszedł z usprawiedliwieniem podpisanym przez ojca. „Syn był chory"... Przeziębienie? A jakże! Zwierzał się kolegom: „Popiłem i miałem tak potwornego kaca, jak n i g d y w ż y c i u!".

● „Proszę pani, jesteśmy dzisiaj bardzo zmęczeni! Niech nas pani szybciej puści do domu..." Zgodziła się. Poszli. Na piwo do „Astorii".

● „Pani profesor słyszała o tym nowym odkryciu amerykańskim?" „Jakim?" „Specjalne blokowanie płuc. Człowiek może przez godzinę przebywać w wodzie zupełnie nie oddychając. Profesor Mark Spitz przeprowadził pierwsze doświadczenia na sobie. Wczoraj pokazywali w telewizji. To jest wielki przewrót..." „Ciekawe, ciekawe, ale ja nie mam telewizora". Na ekranie telewizyjnym pokazywano Marka Spitza. Zdobywał kolejny medal olimpijski. Teraz cała klasa niemal nie pęknie ze śmiechu. „Aleśmy ją nabrali!".

● Z listu do „Perspektyw": „Z uwagą śledzę batalię przeciwko paleniu papierosów. Wśród wielu zakazów i ograniczeń — ze wszech miar słusznych — brak jednego, który obowiązywał już zresztą kilkadziesiąt lat temu: zakaz palenia papierosów przez nauczycieli i wychowawców w obecności młodzieży... Przodują w tym względzie młode nauczycielki i wychowawczynie (nauczyciele również), które dopiero co ukończyły studia i nic sobie nie robią z tego, że ich przykład jest co najmniej szkodliwy".

● Z artykułu w „Życiu Warszawy" mówiącym o aresztowaniu Janusza Dębińskiego, oskarżanego o zabójstwo (wspólnie z Konstantym Federem) dwóch osób: „Przyjedźcie tu (do Konstantynowa), proszę, pedagogowie i obejrzyjcie w Szkole Podstawowej nr 5 arkusz ocen ucznia z roku szkolnego 1968/1969 Janusza Dębińskiego. Stopnie ze sprawowania: w pierwszym okresie — 4, potem piątki, aż do końca roku. I porozmawiajcie z jego ówczesnymi nauczycielami. Mieli z tym uczniem kłopoty, a jakże! Dobry był z fizyki, ale z zachowania lepiej nie wspominać. Skąd więc te oceny? „W kuratorium źle patrzą na obniżone noty ze sprawowania".

W ostatnim wypadku mowa o latach 1968—1969. Od tego czasu wiele się zmieniło. Sądzę, że dziś i w łódzkim i w innych kuratoriach p a t r z y się inaczej.

Ale nie o to tutaj chodzi. Przykłady, które wyżej przytoczyłem, wzięte są bezpośrednio z życia. Oczywiście można domagać się, aby nauczyciele nie palili przy uczniach papierosów, żeby stopień ze sprawowania odpowiadał rzeczywistości. Można też żądać od młodego wychowawcy, aby ostro skarcił ucznia, gdy ten próbuje go tykać, a od młodej nauczycielki, by wcześniej nie kończyła lekcji. Wydaje się jednak, że szkoła ma tyle zadań, że nikt nie jest w stanie obarczać jej jeszcze jednym: wychowaniem samych r o d z i c ó w.

A należałoby, moim zdaniem, postawić dwóję ze sprawowania matce, która kupuje córce buty za 2000 złotych, ojcu, który funduje synowi samochód, który usprawiedliwia jego pijaństwa, rodzicom, którzy dają dzieciom pieniądze na kawiarniane przyjęcia.

Takich „dobrych" rodziców może nawet nie być zbyt wielu. Nie chodzi jednak o ilość, ale o s z k o d l i w o ś ć s p o ł e c z n ą ich poczynań, o destruktywny wpływ, jaki nawet j e d e n przepieszczony synalek czy córeczka mogą mieć na całą klasę. Zazdrość, z powodu tego, że X nosi buty za 2500 złotych, a Y jeździ do szkoły własnym samochodem doprowadza niekiedy do czynów objętych paragrafem karnym.

Co na to nasi Czytelnicy? Pedagodzy? Chętnie zapoznamy się z ich opinią.

MAJ

— My w sprawie rozwodu po raz pierwszy doszliśmy do porozumienia. Rys. L. Szalecki

— Jak myślicie, co on może chcieć? Rys. L. Szalecki

Odpowiedzi redakcji

Antoni B. Lublin. Odnosi się wrażenie, że z zaczętym wierszem jak najszybciej pragnie się Pan rozstać. Nie przez jego rozmiar. Przez rozmiar jego treści. Są to liryczne mikro-nowelki, czy nawet przerywniki rzucone na papier w pośpiechu, en passent. Niech by miały zaletę lapidarności. Ale nie mają. Chwieją się w obranej konwencji nawet na tak niewielkiej przestrzeni tekstu. Na przykład: „List żołnierza do matki" niechby zawierał wyliczenie okrucieństw, jakie żołnierz ma opanować. Grałby tym, co nazywamy moralną prowokacją. Tymczasem znajdujemy w nim łopatologię plus watę: „...chociaż nie chcę domostw burzyć, nie chcę zbrukać swoich rąk"... Czym prędzej w tył zwrot od banału!

A. Z. Chełm Lubelski. W utworze musi istnieć proporcja między jego treścią a... objętością. Kiedy mamy zamiar wyrazić tragedię istnienia, nie ograniczajmy tekstu do 1 1/2 strony papieru, bo wtedy czytelnik nie dowie się ani z jakiego powodu autor popadł w zwątpienie, ani jak ono się wyraziło w realiach jego życia, ani jaki miało epilog. Kartka zmieści co najwyżej kilkanaście banałów — co się stało w wypadku nadesłanego tekstu. Co nie oznacza, oczywiście, że samo zwiększenie przydziału papieru nada utworowi upragnioną głębię myśli.

H. D. Szczawa. „Po drabinie do smutku się gramolić", „sławny Magellan — nieunikniony znawca", „obrazy są zamazane, zwarte", „nie okazał życzliwości, lecz zwlekał" — oto stylistyczne próbki mogące rozweselić najupartszego melancholika. Wdzięczni jesteśmy za to interludium w jakże monotonnej często lekturze redakcyjnej.

M. K. Bydgoszcz. „Szepczemy skowronkom, aby z nas nie odleciały". Czy nie są to reminiscencje z fałszywej poetyczności piosenki „Cała jesteś w skowronkach"? Ten banał i bełkot z akompaniamentem orkiestry to najgorsze sąsiedztwo wiersza. Cóż dopiero poezji!

K. P. Łódź. Nie za bardzo przekonują te wyrazy miłości do dalekiej (i chyba mało znanej) Wietnamki. Przypuszczalnie pragnął Pan nimi podbudować siłę sugestywną wiersza, a przede wszystkim jego powodzenie u redaktora. Przepraszamy, ale nie powiodło się ani jedno, ani drugie. Więc może skorzystać z przysłowia o trzech razach?

„Seweryn". Gdyby przyszło określić jednym słowem charakter pańskich utworów, użyć by należało „konstatacje". Są to stwierdzenia czasem całkiem pospolite zjawisk nie zawsze zasługujących na ujrzenie. Przynajmniej tak wynika ze sformułowań zawartych w nadesłanych utworach. Odwagi. W poezji musi być „ja". Oczywiście nie tylko jako zaimek osobowy.

„Gilbert". Mamy nadzieję, że nie zawsze odpowiemy „nie skorzystamy". Musimy przyznać, że i teraz czynimy to niechętnie. A dlaczego jednak czynimy? Bo mimo zwrotów wyraźnie udanych tekst od czasu do czasu pobrzmiewa mimowolnym infantylizmem. Nawet i katarynką. Czekamy aż te nutki ucichną. Ale czy i autor wykaże samą tylko cierpliwość?

Witold Zechenter

FRASZKI

WRÓŻBA
Wróżę, młody poeto, sławę-ć,
gdyś nad absurdu zabrnął krawędź!

NA SKWERZE
Skwer wśród woni bratków, lebiod,
w ciszy słychać ptaków szczebiot...
To sen! Bo naprawdę — zgraja
rycząc, wódą się upaja...

MÓJ HERB
Ktoś mnie zapytał, jaki mam herb...
— Serce... z dewizą: „Kochaj i cierp"...

WYTRWAŁOŚĆ
Wychodzi zdrowo z najgorszych topielisk
tylko bezmyślny, kamienny obelisk.

JEDNAKO
Jednako zginie i geniusz i partacz,
gdy się pod nosem mu rozerwie kartacz

NIEMOŻNOŚĆ
Jak wzniesiesz z boską ambrozją kielich,
gdyś jest ubrany w zwyczajny drelich?

REFLEKSJA BUDOWLANA
Gdy w nowym domu obsypał tynk was,
to znak, że często przechodził przez szynkwas.

MOWA ZWIERCIADŁA
Jedynie głowy najpustsze
swą pełnię znajdują w lustrze.

Jerzy Leszczyński

KOMUNIKAT O STANIE WÓD

Rzeka —
n a r z e k a ń.

KŁOPOTY Z BOHATEREM

Kiedy się nie wie,
co począć z nim dalej —
można u s a d z i ć
go na piedestale.

TEŻ FILOZOFIA

Utrzymać w tajemnicy
to, że się nie wie o niczym.

SOBÓTKA

Dawniej dziewczę na wodę
puszczało swój wianek —
dziś, rzec można, po prostu
u p ł y n n i a remanent.

Józef Prutkowski

Warszawska geogaffa kulturalna

Niemcy w Ateneum, w Dramatycznym — Hiszpania,
W Komedii — Czechy, w Studio zasię — Chile.
W Operze — Italia (tradycyjna mania)
We współczesnym — USA (o tyle o ile)

W Polskim — Francja, w Ludowym — Anglia, w Operetce —
Austria, w Rozmaitościach — Jugosławia,
W STS-ie — Rumunię ma kto chce i nie chce,
W Narodowym się Rosję przedstawia.

Egzotyczny musical i brechta przy Klechdzie
Karmi oczy. A nasz plakat? Vącat.
I tylko czasami, nieśmiało, gdzieniegdzie
Idzie nowe: poranne lęki na czworakach.